Nr. 10. Warszawa, dnia 24 Lutego (7 Marca) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

ERYTREJA.

Włosi, fundując sobie państwo kolonialne w Afryce, ochrzcili je mianem, jakiego późniejsza starożytność używała na oznaczenie morza Czerwonego, oblewającego właśnie ląd na kolonizacyę wybrany. Grek czasów Aleksandra i helenizmu azyatyckiego, wywleczony dziś z grobu, gdyby mu powiedziano, że Włosi są w Erytrei, szukałby ich w zatoce Perskiej i dalej na wschód, po nad północnym obszarem oceanu Indyjskiego. Tam rzeczywiście nazwa „Morze Erytrejskie" była swoistą i wieki całe się trzymała. Skorzystał jednak umysł włoski i z mniej znanej nazwy morza, oddzielającego Afrykę od Azyi, aby wyrazowem przynajmniej wskrzeszeniem starożytności dodać splendoru własnemu przedsięwzięciu. Rośnie się przecież w gruncie rzymskim, a gdyby Rzym, już późniejszy, Rzym cezarów, jak Włochy dzisiejsze, zakładał był kolonię nad zatoką Arabską, prawdopodobnie byłby ją ochrzcił Erytreją. Brzmi to pięknie, wspaniale, podnosi, uszlachetnia realną wartość kolonizacyi jakimś idealnym połyskiem.

Wdzięk tedy już jest, ale na dźwięk długo jeszcze poczekać wypadnie. Gdyby państwo kolonialne można było zbudować z ambitnych widoków, z pretensyj, z formy wytworzonej dla przyszłości — już by je Włosi dawno mieli, i jak jeszcze ogromne! W r. 1891 zawarli oni z Anglią umowę, że wszystko, co się rozciąga od ujścia rzeki podrównikowej, nazwanej u Heidericha „Jubfluss" do 6 równoleżnika północnego w górę nad morzem, a stamtąd w kierunku zachodnim aż do 35° południka wschodniego od Gr., po tym południku do rzeki Rahat, dopływu Nilu Błękitnego i dalej w kierunku wschodnio-północnym do Ras Kazar nad m. Czerwonem — stanowić będzie tak zwaną sferę interesów włoskich. Wmyśl konwencyi o Kongo z r. 1885 Włochy oznajmiły zaraz innym mocarstwom współobsiadającym Afrykę, że takie są ich interesy, i taka ich sfera. Europa nie ma już prawa niczego im zaprzeczyć. W Europie jednak interes tłumi prawo, i ci sami Anglicy, którzy na „sferę" się podpisali, pierwsi by ją zburzyli, gdyby ich interes tego zażądał.

„Sfera" jest obszarem ogromnym; obejmując całą Abisynię, zachodząc nawet na wybrzeże Somali. docierając od zachodu do egipskiego Sudanu nad Białym Nilem, w górze nawet już weń się wżerając — ma jakie 25,000 mil kwadr. powierzchni. Samo pomorze nad zatoką arabską, z wyjątkiem Massauy, niewielką ma wartość. Assab, w którym najpierwej ok r. 1880 usadowiono się, jest ohydny przez swoją jałowość i brak wody. Massaua, w XVI w. ożywiony port abisyński, wynagradza pod względem handlowym za wszystkie zawody kolonizacyi ściśle nadmorskiej, ale klimat ma również niezdrowy. Wyspy przybrzeżne nadają się na stanowiska obronne. Tu i owdzie wyrobi się z czasem jeszcze lepsza jakaś przystań; na ogromną jednak rozciągłość od Ras Kasaru aż do granicy angielskiej (rzeka Jub [Dżub]), już pod równikiem, wynoszącą z okładem 300 mil geograf., dobrego jest za mało, złego za wiele. Złem jest przedewszystkiem usadowienie się Francuzów w Oboku, Anglików w Zeili, a zupełna teoretyczność posiadania wybrzeża somalskiego, którego północne ostrze, nawet przez samych Włochów na mapach kolorem włoskim nieobwodzone — prawdopodobnie zajmą Anglicy, od Zeili już rozpostarci daleko na wschód po nad zatoką Adeńską.

Z ogromnego obszaru, w którym pomieściłyby się prawie Włochy z Niemcami i Francyą, przypada 9 tysięcy mil kw. w okrągłej liczbie na Abisynię. Ze wszech stron oblewa ją owo mętne morze interesów włoskich i nigdzie nie daje jej wyjścia na zewnątrz. To geograficzne ujarzmienie starego Habeszu było już skutkiem poprzedniego ujarzmienia jego woli państwowej. Zanim w r. 1891 podpisano ów układ z Anglią, na dwa lata już pierwej wymożono tak zwany traktat w Uczali z d. 2 maja 1889 r. Art. 17-y tej umowy stanowił, że Menelik, negus Abisynii, król wszystkich dzielnic, od środka XVIII w. w rozterce ze sobą żyjących, na krótko za Teodora, negusa negesti, ok. r. 1860 połączonych, znowu potem rozszczepionych i znowu do jedności wracających, zgadza się na używanie pośrednictwa Włoch do umów z innemi mocarstwami. Rząd i naród włoski zrozumiały to zobowiązanie jako oddanie się pod protektorat; Menelik i Abisyńczycy widzieli w niem i widzą tylko ofiarowaną przysługę z jednej. a gotowość do korzystania z niej z drugiej strony.

Włosi krzyknęli na zdradę i podstęp i krzyczą ciągle. Abisyńczycy wywzajemniają się zarzutami wiarołomstwa. Kto kłamie, a kto mówi prawdę? Trzebaby widzieć sam oryginał traktatu, porównać oba egzemplarze, wejrzeć, czy jest w nich i tekst abisyński, etyopski, w któremkolwiek z panujących dwu narzeczy *amhara* i *tigre* i wreszcie nauczyć się ich, aby ostatecznie orzec, kto kogo wywiódł w pole. To tylko i bez autopsyi, teraz już powiedzieć można, że jeżeli Włosi nie pozwolili Menelikowi II spisać umowy w jego rodowitym języku, tem samem działali już w złej wierze. Być może jednak, iż Menelik, właściwie król tylko Szoy, budujący

swą władzę nad całą Abisynią z obcą pomocą, pasterz narodów, wpuszczający wilka do owczarni, w nagrodę za tę pomoc z góry przyrzekł i przez pewien czas miał wolę oddać się pod protektorat Włoch — a później dopiero, spostrzegłszy swój błąd, postanowił wyprzeć się zobowiązania. W każdym razie kilka lat temu wysłał on do Europy przedniego swego rasa, z Tigre, Makonnena, dla odrobienia złego, ale nic nie wskórał.

Wtedy przyjaciel Włoch stał się ich wrogiem — przypomniał sobie, że jest Abisyńczykiem. Już w r. 1893 starły się oba wojska — najezdnicze z tuziemnem: Włosi byli górą i zajęli całą prawie Amharę i Tigre. W końcu lata r. 1895 — zakłóciły już spokój wieści z południa: negus ze swego królestwa szoańskiego szedł z 60 tysiącami. Wódz włoski, Baratieri, chwilowo w kraju, nie czekał nawet 25-ej rocznicy i spiesznie odpłynął do Afryki. Zrazu miał powodzenie, ale d. 7 grudnia jedna jego kolumna pod majorem Toselli doznała srogiej przed Amba-Aladży porażki. Ów Menelik i owe 60 tysięcy nie były mitem. Rzeczywiście armia szoańska, wzmocniona oddziałami zabranymi po drodze, dotarła aż pod Aduę i Axum. Posiłki przysyłano gorączkowo, wysłano i nowego wodza: doświadczonego w dawniejszych bojach Baldisserę. Musiał on już stanąć do tej chwili na miejscu — stanął, aby patrzeć na rozbicie swoich, na skutki klęski, o której świeżo donosi telegraf z Massauy. Ponieśli ją Włosi pod samą Aduą, na którą nierozważnie d. 1 marca natarli. Rozmiary tej klęski nie są jeszcze wiadome, ale jest ona dość wielką, aby opóźnić ostateczny podbój, zakłócić politykę wewnętrzną, może nawet wlać w Etyopów nadzieję pozbycia się Włochów. Ziszczenia się tej nadziei szczerze im życzyć wypada.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z Erytrei wieść Hiobowa dla Włochów: d. 1 marca gen. Baratieri uderzył na stanowiska Abisyńczyków pod Aduą i w 6-godzinnym boju doznał straszliwego pogromu. Trzy brygady zupełnie zmiażdżono. W niedogodnem położeniu między skałami napierani przez nieprzyjaciela, walili się jedni na drugich i ułatwiali Menelikowi zwycięztwo. Trzech generałów zginęło. Sam rząd włoski podaje straty w zabitych na 3,000; rannych i zaginionych jeszcze nie policzono. Wszystkie stanowiska utracone. Musiano się cofnąć na północ i wschód ku Erytrei. Lamberti zbierał szczątki w Asmarze. Sam Baratieri dał sobie dymisyę; nie śmiał już stanąć na czele ocalałych z rozbicia, będącego skutkiem nierozważnego wyzwania przeciwnika, który był liczebnie wyższym i w doskonałą broń zaopatrzonym i wreszcie — był u siebie. Włochów mogło być w boju dwadzieścia kilka tysięcy; Abisyńczycy mieli przynajmniej 50,000 do rozporządzenia. Płytkie gawędziarstwo po dziennikach i kawiarniach winę zwala na szpiegów, którzy źle prowadzili, na Francuzów, którzy dostarczyli broni Etyopom, na wąwozy, które tamowały rozwijanie się szyków, wreszcie na Baratierego. Ten jest rzeczywiście, ale nie wyłącznie winnym. Niedorzeczny kierunek strategiczny i pyszałkowate lekceważenie szły z Rzymu, a one to głównie zawiniły.

Wrażenie na politycznie żyjących i politykujących warstwach narodu pogrom wywarł ogromne, ale nie jednakowe na różnych stronnictwach, fakcyach i stanach umysłowych. Crispijczycy wołają w imię patryotyzmu o wielką wojnę; przeciwnicy krzyczą, żeby wszystkiego zaniechać i nie leźć w większe może jeszcze błoto. Crispi wysyła, prócz będących jeszcze na morzu, a pożegnanych przez króla w Neapolu w przeszłym tygodniu, bezzwłocznie 20,000 i uruchomia 80,000 rezerwistów. Sejm, zbierający się d. 5 b. m., będzie musiał dać przynajmniej 50 mil. lir na pierwsze potrzeby. Baldissera, już na miejscu, ma obowiązek przedewszystkiem na nowo organizować i armię i wyprawę. Sudańczycy już wtargnęli w okolice Kassali. Nowy wódz naczelny radzi rządowi zwrócić im tę twierdzę, aby ich sobie kupić przeciw Abisyńczykom: rachuba niepewna. Nową zupełnie kampanię utrudni postawa ludności, z której nie będą już mogli Włosi, jak dotychczas, wyciągać żołnierza, szpiega i żywiciela. Zwycięztwo niedzielne wróciło jej odwagę i przypomniało obowiązek samoobrony. Nie będzie już teraz rasów i podrasów, trzymających z Włochami; czujących odpędzi obowiązek, zwiotrzałych utrzyma przy Meneliku strach.

We Francyi d. 27 b. wypłynął nareszcie z odmętu ów list p. Combes'a, ministra oświaty, do którego *Figaro* przywiązywać nakazał tak wielką a potępiającą wagę. Okazało się, że p. Combes dopominał się posady bezpłatnej, a powodował się chciwością czysto polityczną: zdobycia stanowiska, dającego wpływ i władzę. Nawet oportuniści poznali, że tu niema nic, coby się zdaleka chociaż zestawić dało z ową książeczką czekową o 104 nazwiskach, w której zatraceniu na wieczne czasy oni sami są najmocniej interesowani. Zamiast radykalizmu, nowe cięgi dostał oportunizm w procesie policyanta Dupasa, który za szczegóły do broszury „Dlaczego nie schwytano Artona?" otrzymał jakoby od orleańczyków 80,000 fr. Soinoury, także policyant, zeznał, że Loubet i Ribot nakazali tak ścigać przestępcę, aby go nigdy nie złapać. O prawdzie nikt nie wątpi i sami ministrowie z epoki Panamy milczą jak ryby — a grube to ryby. Arton, zaocznym wyrokiem za bankructwo i podstępny wyzysk, już w r. 1893 skazany, czeka teraz na wyrok stanowczy. Owa książeczka dotychczas jeszcze nie weszła w grę sprawiedliwości.

P. Faure w towarzystwie Bourgeois wyjechał na południe do Lugdunu, Marsylii, Tulonu i na Rivierę, gdzie się zobaczy z ces. Franc. Józefem, *incognito*, jako hr. Hohenombs, w Cap St. Martin bawiącym. W Lugdunie miał mowę pochlebną o p. Carnocie, a wspomnienie to wywołała nietylko miejscowość, w której poprzednika jego zamordowano, ale i przezorność policyi, która po drodze i w mieście samem tropiła spiskowych w obawie nowego zamachu. Rozmowa z cesarzem nie może być bez politycznego znaczenia. Pana Bourgeois zastępuje w Paryżu p. Ri-

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

Eleonora Duse gra niepewnie.

Na ten ton nastrojona jest cała jej sztuka. Niepewność ta—to, że się nic nie wie, niczego nie posiada, żadnej nie ma się mocy, że wszystko jest tylko jakiemś „mniej więcej," a całe życie czemś nieobliczonem, szeregiem przypadków—t. j. niespokojna niepewność, będąca zupełnem przeciwieństwem owych „przyczyn" i „skutków" dawnej, Bogu i logice ufającej, szablonowej estetyki, ta atmosfera głucha, ciemna, tajemnicza, wśród której porusza się, jakby we śnie lunatycznym, nadaje duszy jej owe chore barwy i ową głęboką, rozedrganą dźwięczność. Jest w niej jakiś rys nieśmałości, jakiś nastrój, stroniący przesadnie niemal od jaskrawych, krzykliwych akcentów i nastrój ten objawia się nietylko w jej grze, ale i w strojach.

Rzadko spotkać można na scenie stroje więcej dystyngowane, dyskretniejsze, nacechowane tak indywidualnym smakiem. Podobnie jak Duse gra zawsze tylko własną swoją duszę, tak zawsze tylko własne przedstawia ciało. We wszystkich rolach, w których ją widziałam, miała jedną maskę—własne oblicze. Życie, które się w rysach tych przejawiało, wzruszenia, które się odbijały w głębokich liniach lic, wokoło skarżących się ust, w zapadłych, wspaniałych oczach o powiekach ciężkich, smutnych—wszystko to stanowiło charakterystykę danej roli. Brwi jej pozostawały zawsze parą czarnych szerokich łuków, faliste, kruczo-czarne jej włosy nigdy nie zmieniały barwy. Zwinięte były w skromny węzeł, niższy lub wyższy trochę. W ciągu gry wysuwało się z niego kilka krótszych pasemek, opadając na czoło—ona zaś odgarniała je zawsze kościstą, nerwową rączką tak, jak gdyby każde silniejsze wzruszenie sprawiało jej ból głowy, jak gdyby to brzemię włosów odrzucić chciała.

Na bladem jej ciele, na sukniach żadna nigdy nie zabłysła ozdoba, a ta niczem niezałagodzona chudość jej szyi i ramion miała w sobie coś wzruszającego. Średnia jej, smukła postawa, o szerokich biodrach, nie posiadała owch okrągłej figurki, lecz nie miała też silnych konturów modnych postaci dramatycznych. Zbiedzona ta postać taka była piękna nieskrępowaną harmonią szerokich, posuniętych, dumnie płynących ruchów! ręce jej ruszały się, jak w życiu, tylko częściej, gwałtowniej, dziwaczniej—wskutek żywości włoskiej. No, a wreszcie stroje, kostiumy Eleonory Duse, kostiumy dla *tego* ciała i dla *tej* duszy Nie mogły się liczyć do żadnej mody, mogły atoli stworzyć modę. Było coś antycznego w tej długiej, miękkiej falistości jej szat, podczas gdy aksamitne gorsety i opadające na ramiona kołnierze przesycone były jakoby powiewem z epoki Odrodzenia.

Lecz ani ze smakiem starożytnym, ani z upodobaniem czasów Odrodzenia, ani z modą współczesną nie zgadzał się ten nowy sposób traktowania barw. Z wyjątkiem bluzy ubogich—bluzy Nory nie było tu silnego odcienia czerwieni, ani błyszczącej żółtości, ani żadnego z licznych kolorów niebieskich, nie było tu ani jednej, pełnej, niezałamanej barwy. Kolor czarny i biały we wszystkich gatunkach i cieniach, na sukniach i płaszczach—oto główne barwy pani Duse. Do tego—białe, chorobliwie zżółkniałe koronki, obficie w górze zmarszczone. A wśród tej melancholii zasadniczych tonów — blady bronz, łagodna barwa bratka, cicha zieleń mirtu w miękkich atłasowych lub aksamitnych tkaninach. Była jakaś żałoba w tych strojach, które z każdym mogły się zgodzić wiekiem—tylko nie z wesołym wiekiem młodzieńczym. *Tej* jednej nuty brak wogóle w jej grze. Nie jest wesołą. Umie się cieszyć, ale wesołą być nie umie. Kilkakrotnie występowała w kapeluszach. Były to skromne kapelusze wdowie.

Po raz pierwszy widziałam Duse, jako

card, przeznaczony jakoby na ofiarę dla oportonizmu minister sprawiedliwości. P. Doumer, min. skarbu, w komisyi roztrząsającej podatek od dochodu, oświadczył, że przy literze projektu się nie upiera, chce tylko zasad bez zmiany i wierzy w ich przyjęcie. I tak jakoś Bourgeois, już nie miesiąc, ale cztery unieszczęśliwia Francyę.

W Hiszpanii ogromny hałas na Stany Zjednoczone Am. Półn., które w obu Izbach zamanifestowały się przyjaźnie dla Kuby, zalecając uznanie powstańców za stronę wojującą. Rezolucyę jeszcze lutową sen. Calla—senat zmienił, ale jej nie przytępił, a komentarze Shermana i Lindsaya dodały jej szczególnie jeszcze nieprzyjaznego połysku. Senatorowie mówią już o oderwaniu: niechby Kubę wziął Meksyk—tymczasem... W Madrycie musiano zamknąć ulicę, przy której mieszka poseł St. Zjedn., w całym kraju niesłychane wzburzenie, odgróżki, strzelanie wielkiemi słowami. Wszystko to się uspokoi, gdy Cleveland z rady Izb nie skorzysta, a zdaje się, że Venezuela poskromiła jego porywczość. Wyzywająca postawa Hiszpanii mogłaby tylko popsuć sprawę. Powstanie wciąż się trzyma. Weyler zniechęca ludność swemi rozporządzeniami, a czynów wojennych jeszcze nie daje.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Dramat współczesny w Anglii.

O stanie literatury dramatycznej w Anglii nie sposób jest wyrobić sobie bezpośredniego pojęcia, gdyż większość utworów scenicznych nie jest drukowaną, dla powodów bardziej handlowych, niż literackich. Trzeba więc bywać osobiście na widowiskach i wertować krytyki rozrzucone po czasopismach. Pracę tę przedsięwziął A. Filon i rezultaty jej ogłosił w szeregu artykułów nader cennych *). Stawia on sobie następujące pytanie: „Czy w chwili obecnej istnieje żywy dramat angielski?“ — tj. czy istnieje dramat, wyrażający myśli i uczucia swego czasu i będący zarazem syntezą wszystkich czynników geniusza narodowego? Otóż, zdaniem krytyka, w ciągu ostatnich lat trzydziestu dramat w Anglii nie był ani współczesny, ani angielski. Działały tu przyczyny następujące: 1) hypokryzya surowych obyczajów, która powstrzymywała niezależność autorów; 2) mur przesądów, oddzielający artystów od „towarzystwa“ i ścieśniający w ten sposób pole spostrzeżeń pisarskich; 3) religia Shakespeare'a, ktora ubezwładniała wyobraźnię, ofiarując jej wzory zbyt wielkie i formy przestarzałe i nareszcie 4) teatr francuski, w którym dramatopisarze angielscy przez długi czas szukali pomysłów i natchnienia. Z czasem wszystkie te hamulce rozwoju niezależnego zaczęły powoli znikać. Z postępem oświaty i wzrostem ducha demokratycznego ideał moralny się rozszerzył i barycry, oddzielające artystę od „świata,“ upadły, dramatopisarze zaczęli studyować życie nie za kulisami lub w szynkowniach, lecz w salonie. Ich położenie moralne znacznie się poprawiło. Shakespeare tracił swój wpływ ubezwładniający w miarę tego, jak go lepiej i głębiej pojmowano. Nareszcie tyrania wzorów francuskich, która zbogacała przedsiębiorców teatralnych, ale zagłuszyła oryginalność dramatopisarza, także ustąpiła, dzięki wpływowi Ibsena w znacznym stopniu. Wzory francuskie były fatalne dla Anglików, z powodu głębokich różnic rasowych, zachodzących między dwiema narodowościami. Natomiast Ibsen nie jest dla Anglików obcym. Tu istnieją ścisłe węzły pokrewieństwa: Ibsen może wywrzeć na teatrze angielskim tylko wpływ zbawienny. On sam zawiera w sobie oba czynniki, idealizmu i realizmu, które zawsze były obecne w poezyi angielskiej. Ten dualizm może być objaśniony tylko przez małżeństwo nader burzliwe lecz płodne, saksończyka i celta, przez wysiłek zawsze chybiony i wciąż odnawiany tych dwu czynników do ostatecznego zjednoczenia się i zlania w całość odrębną. Dramat XVI w. powstał, w chwili znamiennej i burzliwej, z jednego uścisku pełnego szału dwu ras jeszcze młodych i potężnych.

Obecnie rasy te są daleko starsze i znużone, ale rozwój przemysłowy, pogoń za nowymi rynkami ożywia je teraz tak samo, jak niegdyś je ożywiał rozbój morski i podbój nowych lądów. Oba czynniki etniczne angielskie są znowu głęboko skłócone, nie może ich zadowolić ani naturalizm francuski, ani ideał „sztuki dla sztuki.“ Oba czynniki wymagają równomiernego zaspokojenia. Zarazem współczesne rozwoje przemysłowe powołały do życia kwestyę społeczną, która grozi światu strasznem jutrem. Wszystkim tym potrzebom Ibsen czyni poniekąd zadość i wpływ jego w Anglii może być bardzo pożyteczny. Ale i bez niego dramat angielski, dzięki wyliczonym warunkom, szedłby dziś po drodze rozwoju oryginalnego. W tej sprawie rozbudzenia uśpionej niezależności, krytyka dokonała zadania pierwszorzędnego. Zwłaszcza William Archer, który odegrał rolę inicyatora, podobną do tej, jaką Lessing przed stu laty w Niemczech. Archer nie stawia żadnych granic teatrowi: są one — jego zdaniem — też same, co życia. Przyjmuje wszystkie formy i wszystkie rodzaje, byleby nie były przyniesione z zewnątrz i odpowiadały potrzebie duchowej narodu. „Sztuka — powiada — powinna zawierać trzy czynniki: obraz, sąd, ideał.“ Żąda splecenia realizmu z idealizmem w jedną całość. Chce, aby sztuka była moralną, ale nie w sensie kary wymierzonej przeciw przestępstwu, lub nagrody danej cnocie, lecz w tem, iż powinno unosić się nad nią dążenie ku dobru, ku formom życia, lepszym niż dzisiejsze. Chce, aby teatr posiadał ideał, ale nie ideał zwrócony w przeszłość, jak to bywa w krajach, gdzie panuje tragedya, lecz ideał przyszłości i postępu. Prześladuje głównie apatyę i wymaga bezustannych wysiłków, dążeń naprzód. Wpływ jego na dramatopisarzów i na publiczność był wielki. Zalecał Ibsena, tak samo jak niegdyś Lessing Shakespeare'a i również potępiał wpływ francuski. Jego krytyka nie jest ani dogmatyczną, ani analityczną, ani porównawczą, nie ma kierunku wyłącznego i chce pozostać zupełnie niezależną.

Filon wykazuje, jak z początku rozbieranego trzydziestolecia hale muzyczne (music-halls), z podkasanemi szansonetkami, farsy i melodramaty przyciągały największą masę publiczności, jak tylko z czasem dramat literacki i wyższa kome-

*) *Revue des deux mondes* (czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik, listopad, 1895).

„Norę.“ Lecz nie byłam zadowoloną. W sztuce tej, napiętnowanej rdzennie północnym temperamentem, niewiele się spodziewałam po włoszce. Widziałam najlepszą północną Norę, prawdziwą Norę Ibsena, widziałam panią Hennings i każdym rysem żywo mi jeszcze stała w pamięci. Pani Hennings była, jako Nora, drobnem, delikatnem, nerwowem stworzonkiem, o włosach jasnych, nosku śpiczastym, zgrabniutka, strojna, ufryzowana ze smakiem parafjańskim—ładnie, tanio, porządnie—słowem, wieszczka ze szczupłą sakiewką, licznemi wymaganiami, z widnokręgiem, nie sięgającym poza granice własnego domu i tysiącem innych małych, względzików. W tej Norze, ze świegotliwą jej paplaniną, było nieco tradycyi, podziw jej dla biurokratycznej duszy Helmera był jakiś książkowy, nałożony, dziecinne miała pojęcie w jego ukrytem bohaterstwie. Była w niej też pewna urodzona, a może odziedziczona skłonność do krętackich interesów — pensyonarska pusta wesołość, kokieteryjna ruchliwość i skokliwość, którą uprawiała, ponieważ tak jej z tem było do twarzy. A kiedy w całą tę sztuczną miluchność wdziera się podmuch życia, w kurzym móżdżku powstaje zupełne zamieszanie, i biedne stworzenie skacze wciąż i skacze w tym swoim gorsecie, z tą swoją grzywką karbowaną, na tych swoich wysokich obcasach, a mając słabe nerwy i niezdolność samoistnego myślenia, wpędza się samo w najstraszniejszą trwogę. Trwoga ta była arcydziełem w mistrzowskiej grze pani Hennings. Osłupiałe, ciągle w jeden punkt zwrócone spojrzenie, ustawiczna autosuggestya, która sprawiała wrażenie tem większe, ponieważ skreślona była z taką prawdą, ponieważ uwydatniała drogę, po jakiej dobrze wychowana, wzorowa córka mieszczaństwa dostaje się do wody lub do domu obłąkanych. A kiedy nagle następuje przewrot, kiedy urocza gąska przetwarza się w bogato upierzoną, rezonującą emancypatkę, wtenczas i wielki, prawdziwy artyzm pani Hennings nie potrafił zapełnić przepaści, dzielącej dwa te zjawiska. Nora rozpadła się na dwie połowy, które od biedy trzymał drucik cudowności. Cudowność tę pani Hennings przeniosła w odrodzoną Norę i wyszła z owem niedopowiedzianem „do widzenia!“

Wchodząc na scenę, jako Nora, Eleonora Duse jest bladą, chorowitą, cichą kobietą. Uważnie zagląda do sakiewki i nim zapłaci posłańca — czyni tę mimowolną pozę, która u niezamożnych ludzi poprzedza zwykle płacenie. Kiedy następnie zrzuca ubogie futerko i czapeczkę, ukazuje się chuda, czarnobrewa włoszka w starej, jaskrawo-czerwonej, lużnej bluzie. Z dziećmi bawi się tak, jak zazwyczaj bawią się z niemi dorośli, których myśl czem innem jest zajęta—bez istotnej wesołości. Przychodzi pani Linden, i Duse opowiada jej całą swoją historyę, z nadzwyczajną, włoską wymownością, ale jednak z pewną przymieszką roztargnienia, tak, jak gdyby niezupełnie myślała o tem, co mówi; najchętniej siaduje na podłodze—rys wcale niemieszczański—i tak siedząc, przygotowuje podarki na gwiazdkę. W scenach z Helmerem objawia jakąś pokorną tkliwość, przy nim czuje ciepło, on jest jej obroną; przytula się tedy do niego raczej jak chora, niż jak dziecko. Wszystkie te sceny, nacechowane tak wyraźnie współczesną nerwowością, mijają—lecz Duse nie staje się nerwową. Trzepotliwość, nierówność, urywkowość, wszystkie owe nagłe przewroty, nieumotywowane pomysły, ta szczegółowość dziecka mieszczańskiego dekadentyzmu, wszystko to nic jej nie obchodzi. Ani tu, ani gdzieindziej. Duse nie gra kobiety nerwowej. Nie gra jej, ponieważ posiada właśnie delikatną wrażliwość nerwów. Gra gorączkę najsilniejszego wzburzenia i gra ją często, lecz tego połamania, kaprysów, nerwów jako skłonności nie gra. Dusza jej i smak posiadają na to w zbyt wielkim stopniu owe długie, rytmiczne faliste linie, drgań głębokich.

(D. c. n.)

dya zaczęły dostarczać wzruszeń artystycznych subtelnych. My tu zajmiemy się tylko tą ostatnią dziedziną i jej głównymi przedstawicielami.

Sydney Grundy daje przeróbki z francuskiego — Scribe, Labiche, Sardou: to jego mistrze — przeróbki nader sumienne i często szczęśliwe. Najlepsza sztuka Grundego, „Mammon,“ jest wersyą „Montjoye“ Feuilleta, przystosowaną do zwyczajów angielskich, z mnóstwem szczegółów nowych i oryginalnych Za to jego własne sztuki są zwykle oparte na tematach oklepanych. W „Sowing the Wind“ (1892) opiekun długo nie zgadza się na małżeństwo swego pupila z nieznaną panną, aż nareszcie przekonywa się, iż ta jest jego własną córką, którą długo uważał za straconą. W „New Woman“ (1894) światowiec żeni się z gospodarską córką, która w żaden sposób do „świata“ przyzwyczaić się nie może. Nieszczęśliwy, lecz zakochany małżonek, ostatecznie godzi się z losem: żona jego nie będzie „damą,“ lecz będzie „żoną.“ „Stary Żyd“ (1895) jest czemś w rodzaju Balzakowskiego „Ojca Goriota:“ autor doprowadza tu miłość rodzicielską do rozmiarów fantastycznych.

„Talent szczery, zamiłowany trochę w danych chimerycznych, umysł współczesny, umiejący odmładzać stare tematy, pisarz zręczny w haftowaniu lekkich arabesków, ale któremu zręczność nie wystarcza w sprawach ważniejszych, i który nie zdołał jeszcze wypowiedzieć się całkowicie w większem dziele; takim jest dotychczas p. Sydney Grundy. Nie powiedział on jeszcze ostatniego swego słowa; może nam dać jutro znakomitą komedyę, wziętą z pełni realizmu, dramat drgający życiem i namiętnością. Ma po temu wszystkie warunki niezbędne: wdzięk, uczucie, smak rzeczywistości, humor, znajomość teatru i przychylność ogółu.“ Taki jest sąd ostateczny Filona.

Henry-Arthur Jones rozpoczął swą karyerę od pisania melodramatów. W tym gatunku, dość wulgarnym, miał powodzenie i zarazem dobrą szkołę: mógł tu dawać zupełną swobodę swej wyobraźni i temperamentowi; tą ścieżką niespodzianą wyszedł z czasem na wielki gościniec emocyi Shakespearowskich. Najlepszym utworem z tej epoki przygotowawczej jest „Silver Kiny.“ Wraz z powodzeniem sztuka ta dała autorowi swobodę myśli i ruchów. W „Świętych i grzesznikach“ Jones wypowiada walkę hypokryzyi religijnej przez najbardziej charakterystycznych jej przedstawicieli. Szanując szczerą wiarę, a nawet fanatyzm, jest nieubłagany dla szarlatanizmu. W przedmowach do swych dramatów i w artykułach dziennikarskich autor śmiało wypowiada zdanie, iż teatr z czasem zajmie miejsce ambony, aby dawać lekcye moralności. Jones obnaża merkantylizm, kryjący się pod maską bigoteryi w „Triumph of the Philitines.“ Jestto satyra drobnej burżuazyi angielskiej: demokracya purytańska, która niegdyś dokonała wielkich rzeczy, obecnie ma już jeden tylko cel życia: zarabianie jaknajwięcej pieniędzy.

Talent Jones'a postąpił o wielki krok naprzód w „Judah“ (1890). Tu już niema, zdaniem Filona, ani cienia melodramatu. Młoda dziewczyna, Washti Dethic, nauczona przez potwornego ojca, uchodzi za znachorkę, cudotwórczynię. Było to z jej strony kłamstwo nieświadome, spowodowane przez nędzę i wpływ ojca. Z czasem brzydzi się swoją rolą, ale musi odegrywać ją w dalszym ciągu. Autor zwraca całą pogardę słuchacza na starego Dethica. Aby dać dowód prawdziwości siły cudownej, wrzekomo posiadanej przez jego córkę, Dethic zgadza się, na żądanie niedowiarków: poddać Washti postowi trzytygodniowemu. Młoda, zgłodniała dziewczyna jest u schyłku sił, ojciec chce pokryjomu dostarczyć jej trochę jedzenia. Pomaga mu w tem Judah Llewelyn, żyd irlandzki, zakochany w Washti. Wierzył on z początku w moc cudotwórczą i kochał miłością ekstatyczną, pełną entuzyazmu religijnego. Gdy poznał kłamstwo ojca i naturę słabą kobiecą córki, napełniła go wielka litość i zarazem miłość bardziej ziemska. Następnie dopiero, jako reakcya, budzi się w nim sumienie; zgryzoty za udział w oszustwie go trawią. Fałsz udał się zupełnie Wszyscy wierzą w potęgę nienaturalną Washti; chorych ta wiara uzdrawia. Judah i jego narzeczona mają szacunek świata, brak im tylko spokoju wewnętrznego, poszanowania samych siebie. Zdobywają je napowrót wyznaniem publicznem swej winy.

„Słuchajcie mnie! Słuchajcie mnie wszyscy! — woła Judah do zebranego ludu. — Skłamałem! Skłamałem! Weźcie napowrót me fałszywe świadectwo i niechaj prawda powróci na me wargi! Niechaj me serce odnajdzie spokój, a powieki—sen! Wiecie teraz wszyscy, czem jestem... (zwracając się do Washti). Skończone! A teraz nowa droga otwiera się prosto przed nami i możemy po niej kroczyć życie całe bez obawy.

„The Crusaders“ (1891) jest satyrą społeczną na filantropię londyńską; nie chodzi tu o oddzielne charaktery, jest to obraz grupy całej, gromady obłudników, złośliwców i egoistów, którzy pod płomyczkiem dobroczynności mają na względzie własne interesy. Jones dochodzi w końcu sztuki do takiego wniosku: „Chcąc zreformować Londyn, trzeba, aby każdy z nas przekształcił naprzód samego siebie.“

W „The Case of rebellious Susan“ kobieta oszukiwana przez męża, mści się w podobnyż sposób: bierze kochanka, który ją wkrótce porzuca. Wraca, ale bez zapału, do ogniska domowego. „Oh!—woła mąż skruszony — jakże ja cię teraz kochać będę! — Tak, kochaj mnie — odpowiada — potrzeba mi, aby mnie kochano.“ Niestety, miłość, którą jej mąż teraz ofiaruje, nie jest taką, jakiej potrzeba — i w tem tkwi moralność sztuki.

W ostatnim dramacie, „Masqueraders“ (1894), zauważyć się daje zwrot w twórczości Jonesa: porzuca realizm. „Teatr — powiada — dąży w tej chwili ku stronie tajemniczej i fantastycznej natury ludzkiej.“ Dramat powinien zawierać cztery czynniki główne, między którymi niema ani realności, ani logiki: te czynniki, to piękno, tajemnica, namiętność i wyobraźnia. Ową teoryę opiera Jones na powadze Shakespeare'a i Ibsena. „Masqueraders,“ to rodzaj melodramatu, który się obraca koło sprawy dość banalnej: mąż przegrywa żonę w karty. Dzieło nie jest jasne i zostawia wrażenie niepokoju.

„Czy Jones wyjdzie zwycięzko z tego kryzysu, czy nie — kończy Filon — odegrał on już wielką rolę w odrodzeniu teatru, jest najbardziej angielskim z żyjących pisarzy dramatycznych, tym, który wyraża w sposób najszczerszy i najaśniejszy duszę swego pokolenia i swej rasy.“

A jednak najdoskonalsze dzieło teatru współczesnego Anglii nie Jones napisał, lecz Arthur Pinero. Rozpoczął swą karyerę jako aktor, dał następnie cały szereg komedyj i fars wesołych ale nieznacznych, dopiero w r. 1889 wystąpił z dziełem większem: „The Profligate,“ który jest dobrze zbudowanym melodramatem, opartym na zbiegu nieprawdopodobnych okoliczności i przypadków i bez głębszej psychologii: stary Don Juan pod wpływem miodowego miesiąca powraca na drogę cnoty; młoda jego żona pod tymże wpływem zdobywa odrazu głęboką znajomość ludzi i świata. Przygarnęła ona jedną z ofiar swego męża z czasów kawalerskich, nieznając jej; pomaga w wykryciu uwodziciela i serce jej pęka, gdy widzi, kto nim był.

Za to w „The second Mrs Tanqueray“ (1893) autor dał dramat istotnie doskonały. Analiza psychologiczna, nader delikatna, nie pozostawia nic do życzenia, budowa dzieła pełna siły i elegancyi, treść pełna wzruszeń, jakkolwiek nie nowa: dawna utrzymanka, która staje się kobietą zamężną. Tanqueray, człowiek słaby i dobry, zakochał się w Pauli, która, pomimo swego położenia, jest uczciwą. Gdy on domaga się jej ręki, wyznaje mu całą swą przeszłość. To nie zraża Tanqueray'a; żeni się z nią. Jest mu niewymownie wdzięczną, ale spokój pożycia małżeńskiego nudzi ją, tak przyzwyczajoną do ciągłych zmian i awantur. Zarazem nie może zyskać przyjaźni Heleny, córki Tanqueray'a z pierwszej żony. Nareszcie „towarzystwo“ odwróciło się od nowej pary. Wszystko to drażni Paulę: żałuje w końcu, że porzuciła dawne swe życie. Tymczasem Helena, bawiąc u krewnych, poznała kapitana Ardale'a, który się oświadczył i poślubił ją. Ale młodzieniec ten był niegdyś kochankiem Pauli i gotów jest wyrzec się Heleny, aby tylko nie być zięciem „takiej kobiety.“ To doprowadza nieszczęśliwą do uczynienia ofiary ze swego życia, zwłaszcza iż młodość i piękno ją opuszczają i nie widzi nic przed sobą.

Oprócz utworów wyliczonych, teatr angielski jest stale zasilany przez dzieła Ibsena, który wycisnął zresztą na trzech powyższych dramatopisarzach ślad wyraźny, zwłaszcza na Jones'ie. Krytykiem, który najwięcej się przyczynił do tego, aby dać poznać Ibsena w Anglii, był Gosse obok Archera. Dramatom Oscara Wilde'a Filon nie przypisuje większego znaczenia i zresztą karyera jego jest tymczasowo przerwana. Z młodych zwracają jeszcze uwagę na siebie: G. R. Sims, naturalista ze szkoły Zoli. Jego „Lights of London“ miały powodzenie, ale bez jutra, gdyż dramat angielski nie zmierza ku realizmowi; L. Parker, Malcolm Watson, M. Barrie, M. Carton i Haddon Chambers. Ten ostatni swoim „John-u-Dzeams“ obudził wielkie nadzieje, panującym w nim nastrojem marzycielskim i czułym, który bardziej jest w modzie, niż realizm. Temat sztuki: okrutność przesądów społecznych, nie pozwalających zrehabilitować się upadłej dziewczynie. Przyszłość należy do tych młodych, jakkolwiek żaden z nich nie wyodrębnił się jeszcze ostatecznie.

L. W.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Wydawnictwa zeszytowe: „Bibliografii polskiej“ K. Estreichera wyszedł z. 4 i 5 tomu XIV; „Obrazu lit. powszech.“ P. Chmielowskiego i E. Grabowskiego z. 8 i 9; w „Bibliotece powszechnej,“ wydawanej przez T. Paprockiego, ukazały się: „Nikt mnie nie zna“ i „Pan Benet“ A. Fedry; „Ifigenia w Taurydzie“ i „Torkwato Tasso“ Goethego; „Grażyna“ Mickiewicza; „J. Cezar“ Shakespeare'a; „Świat nudów“ E. Pailleron'a; „Jak dożyć sędziwego wieku“ P. Mantegazzy; „Trzy lata w Algierze“ Z. Grabowskiego. Księgarnia M. Arcta zaczęła wydawać zeszytami „Encyklopedyę ilustrowaną wiadomości pożytecznych.“

Rozprawy naukowe. Specyalny badacz i lekarz wadliwości mowy, dr. W. Oltuszewski, wydał „Trzeci przyczynek do nauki o zboczeniach mowy,“ zawierający dalszy ciąg wyników obserwacyi i leczenia, oraz „Rozwój mowy u dziecka i stosunek tego rozwoju do jego inteligencyi“ (str. 80).

Podróże: Dr. Józef Zawadzki wydał wiązkę notatek p. t. „Z nad Bałtyku“ (str. 51).

Poezye. Jerzy Żuławski wydał zbiorek p. t. „Na strunach duszy“ (str. 258).

POEZYE.

CO DAŁO ŻYCIE.

Ja wiem, że muszą zerwać się ogniwa,
Które nas łączą, duszy mej śnie jasny,
I że nie tyle dłoń losu je zrywa
Ile brak ognia w piersi twojej własnej.—
Wiem, że ta miłość, w którą moje serce
Wlało porywy swoje najgorętsze,
Choć mi z twych oczu zabłysła w iskierce,
Nigdy nie wnikła w serca twego wnętrze;
Że byłem dla cię jak kaprys przelotny
W szeregu mnogich, coraz nowych wrażeń,
Że u twej piersi duch mój był samotny
W świecie swych marzeń.

Ja wiem już dzisiaj, że niema na świecie
Owej harmonii duchów doskonałej,
O której we snach roi się poecie,
Gdy swe nieziemskie ściga ideały;
Że gdym na ciebie, pragnieniem omamion,
Zlewał najwyższe duszy mej zachwyty,
Tom ja sam skrzydła przypiął ci do ramion
I na ich piórach wznosił cię w błękity;—
Że moja myśl to i czucie gorące
Słonecznym blaskiem biły z twego czoła:
Tak brylant martwy aż promienne słońce
Blask zeń wywoła.

Ja wiem to dzisiaj, ale się nie żalę,
Że cię tak bardzo sercem ukochałem,
Bom u stóp twoich śnił o ideale,
Choć ty nie jesteś owym ideałem.
Bo z uczuć moich i z krwi mej serdecznej,
Co wrzała warem kiedym patrzał na cię,
Wysnułem cały świat widzeń słoneczny,
Wszystkie zaklęte w me pieśni postacie;
Bo w życiu marnem jako wiatru tchnienia
Chwilę przeżyłem wzniosłymi porywy,
I ja—proch ziemi—doznałem złudzenia
Żem był szczęśliwy!

A więc—chociażby ciężka losów ręka
Z koleją czasu złamała me siły,
Chociaż na ustach zastygnie piosenka,
Przyćmią się oczy, co na cię patrzyły;
Jeśli z Przeznaczeń srogiego wyroku
Tak długie pasmo lat mi się zakreśli,
Że w starym trupie, snującym się w mroku
Nikt się już śladu uczuć nie domyśli;—
Ja wówczas jeszcze—ilekroć źrenice
Wzniosę ku gwiazdom na wieczornem Niebie—
To aby dawne odczuwać tęsknice
I kochać ciebie!

Tak, kochać ciebie; bo i cóż jest we mnie
Coby się z twoją nie zlało istotą?
Jak kropla deszczu rozpłyniona w Niemnie,
Duch mój się z tobą zlał wieczną tęsknotą.
Jam się krwią moją w twe żyły przesączył.
Wszak drga w eterach pieśń, co nam przebrzmiała?
Snów piewcy sercem ludzkiem jam dokończył:
Ideał pierzchnął—miłość pozostała.
I gdy po życiu zgaszonem jak płomie—
Znów nas przyroda w swem wnętrzu pogrzebie,
W każdym powstałym z mych prochów atomie
Będzie część ciebie!

Adam M-ski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Ostatni sejm pod laską Stan. Badeniego zrobił duży krok naprzód ku naprawie stosunków istniejących. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że od wielu lat jest to pierwszy sejm, który zakończył swoje czynności w czasie określonym bez skarg i narzekań na krótkość terminu. Przyniósł on szlachcie nowe ciężary, będące tylko rezultatem dążenia do zasady równomierności. Tak długo oczekiwana „zasada“ przejdzie teraz tylko do ustawy szkolnej i kościelnej, a w najkrótszym czasie zapewne do drogowej i gminnej. Szlachta przed sprawiedliwością publiczną musiała ustąpić, ale słusznie powiedziano, że ustępstwa trzeba było po kawałku z gardła wydzierać.

Doniosłym bardzo faktem są uchwalone rezolucye w sprawie reformy gminnej. Organizacya dwu niejako gmin wiejskich z przed trzydziestu laty: właściwej gminy i obszaru dworskiego, pociągnęła za sobą najfatalniejsze następstwa. Nie będę się o nich rozpisywać szeroko, wspomnę tylko o tem, że za pomocą owego rozdwojenia szlachta pozyskała ulgi w ciężarach lokalnych, a chłop dźwigał na sobie ledwie nie całą stronę materyalną autonomii. Ubożał on, rozgoryczał się, a szlachcic pozostał odosobnionym i bez wpływu. Kiedy rozdziału gminy broniono bardzo wytrwale—widząc jedynie korzyści materyalne,—po stronie gminy zbiorowej stanął tylko Adam Potocki, twierdząc, że oddzielenie obszaru dworskiego od gromady nie może mieć innych skutków, jak ostateczne i stanowcze osłabienie organizacyi gminnej, jak skazanie jej na wieczną nicość, a względem obszarów dworskich, pozostawionych na boku, jest to odebranie im wszelkiej podstawy, wszelkiego znaczenia, wszelkiego wpływu na czynności miejscowe i sprawy krajowe.

Wszystko co do joty spełniło się. Teraz trzeba błędy poprawiać.

Sejm nad tem się zastanawiał. Myślano jednak i dawniej. Pierwszy Rutowski podał projekt ustawy o gminie okręgowej na zasadzie równomierności w ciężarach. Wystąpiono bij-zabij przeciwko projektowi pogrzebano. Myśl zbudzona nie dała się jednak pogrzebać. W ciągu ubiegłej kadencyi podniósł ją marszałek Stanisław Badeni, postawił na pierwszym planie, uważał załatwienie jej za konieczne z powodów administracyjnych, społecznych i politycznych.

Reforma tak dalece leżała na sercu wszystkim, że nawet stańczykowskie koło krakowskie, jeszcze przed sejmem, odbyło naradę i spisało rezolucyę, której bronił Dunajewski, były minister skarbu. Bronił świetnie. Jakiś poeta sejmowy powiedział, że „chodził górami.“ Tak, prawda. Nasiawszy na żyznych dolinach Galicyi cierni i głogów, po których jęcząc długo jeszcze ludność tutejsza stąpać będzie; zubożywszy chłopów podatkami, wprowadziwszy cały system zdzierstw poborowych stworzywszy stronnictwo rządowe mocne i zdolne do wszelkich ustępstw,—sam „poszedł górami.“ Nie, ci, którzy nędzę sieją, nie wyrastają na proroków.

Zasadnicza myśl Dunajewskiego była ta sama, co i wszystkich, z tą tylko różnicą, że rezolucya krakowska wzywa C. K. rząd, aby po zasięgnięciu zdania Wydziału krajowego sam podał projekt ustawy dla gminy okręgowej, t. j. pragnie, ażeby rząd wiedeński zrobił to, co należy do Wydziału i Sejmu. Akcya ta da się streścić w kilku słowach: zróbcie dla Galicyi, co łaska, bo my przecie bez was niezdolni jesteśmy do niczego. Nazywa się to „chodzić górami,“ dlaczego nie — całowaniem rączek, albo... stopek? Nie jest że to zwracanie się do kulawego z prośbą ażeby prowadził ślepego? Ten nowy ukłon grzeczności i pokory do rządu da się wprawdzie usprawiedliwić możebnością łatwiejszego i szybszego załatwienia całej sprawy, ale nie jest krokiem ani poważnym, ani politycznym, chociażby ze względu na to, że wyjątkowe położenie gminy wiejskiej i obszaru dworskiego, jakie obecnie istnieje, wytworzyło się dzięki interwencyi wiedeńskiej.

Papiery Badenich stoją teraz w całej Austryi bardzo wysoko. Dwaj bracia podnieśli dwie niezawodnie najważniejsze sprawy w polityce wewnętrznej Austryi: Stanisław—utworzenie gmin okręgowych, a Kazimierz—kwestyę wyborczą.

Jak stoi pierwsza sprawa—mówiliśmy po krotce o tem; o drugiej mówić jeszcze przedwcześnie, gdyż stanęła ona dopiero ponownie na porządku dziennym. Dwaj ministrowie kark sobie na niej skręcili, a Badeni przeprowadzi. Mojem zdaniem, prawie nie ulega to wątpliwości, bo do rozwiązania jej, względnie zadawalającego, przysposobi sobie grunt tak zręcznie jak żaden przed nim tego nie uczynił. Inni szukali sojuszu ze stronnictwami i klubami parlamentarnymi. Badeni poszedł zupełnie odmienną drogą. Teraz dopiero możemy domyślać się, w jaki sposób torował on sobie przejście i szlaki zarówno do utrwalenia swojej pozycyi, jak i do przeprowadzenia reformy wyborczej.

Trzeba było przedewszystkiem dla sprawy reformy wyborczej zjednać opinię nie w parlamencie, który, jak widzimy, w całej Europie występuje jako instytucya przeżyta i potrzebująca kardynalnych zmian, lecz śród narodów Austryi. Pierwszą myślą musiała być potrzeba pozyskania stałej podstawy dla gabinetu Badeni-Biliński-Rittner, czyli znalezienia sposobów i środków zjednania sobie sympatyi i poparcia powszechnego. Tu Biliński, jako minister skarbu, utorował drogę Badeniemu. Prawdopodobnie leżało to już w planie nowego prezydenta-ministra i służyło za przedmiot narad przed utworzeniem gabinetu. Do Badeniego zwracano się niejednokrotnie o objęcie przewodnictwa w gabinecie, ale człowiek tak ostrożny i wytrawny nie mógł się na to zgodzić, nie widząc wobec istniejącego stanu rzeczy żadnej rękojmi utrzymania się na ślizkiem i zniesławionem stanowisku. Tu przyszedł mu z pomocą Biliński i razem utworzyli duumwirat.

Nominacyę hr. Badeniego przyjęto, jeśli można tak powiedzieć, z wściekłością. Ale niedługo to trwało. Akcya duumwiratu da się streścić w kilku słowach: cicho, damy wam jeść! Najpierw tedy Badeni zniósł stan oblężenia w Czechach. Tu więc zaznaczyła się zmiana frontu i sympatyi ku niemu. Potem wystąpił Biliński z projektem, który oddawna rozgoryczał cały świat urzędniczy: regulacyi emerytury, płac wdów i sierot, pozostałych po urzędnikach. Na tem polu okazał się rząd austryacki wysoce niesprawiedliwym dla swoich współpracowników; projekt przeto podwyższenia emerytury i płac przechylił ostatecznie szalę zwycięztwa na stronę nowego ministerym, zjednał mu nadzwyczajną popularność i sympatyę u wszystkich bez wyjątku. Nikt nie wchodził w to, że Biliński, ażeby dodać mającym za mało, bez litości obdzierał tych, którzy nic prawie nie mają i, oddawszy rządowi nadwyżkę w cenie biletu kolejowego, musieli jeździć głodni. Tych wszystkich o głos i sympatyę nie zapytywali i nie zapytają.

Tak czy inaczej, nie ulega wątpliwości, że Biliński projektami swymi założył fundamenty trwałości duumwiratu i przysposobił grunt pod przychylne rozwiązanie kwestyi wyborczej.

Zwycięztwa w polityce wewnętrznej nie równoważą jednak strat w polityce zagranicznej. Odsunięcie się od Austryi ks. Ferdynanda jest dowodem miernych zdolności politycznych hr. Gołuchowskiego, a dla państwa ciosem bardzo dotkliwym. Polityką swoją zewnętrzną, chwiejną, niejasną, pozbawioną wszelkiej energii, nie zdołało ono wyrobić sobie ani po-

wagi, ani wrażenia, a wątpić należy, czy się rychło na to zdobędzie.

Lwów dotychczas z teatrem rady dać nie może. Nie mówiłbym o tem, gdyby z tą sprawą nie wiązały się inne. Co do nowego teatru, przyjęto projekt Gorgolewskiego. Naznaczono trzy nagrody, a przysłano tylko dwa projekty; no, ale skończyło się wszystko szczęśliwie i oba nagrodzono. Co do miejsca — podobno utrzyma się plac Gołuchowskich. Znawcy są jednak tego zdania, że można w bagnach Pełtwi utopić pięć milionów i—nie mieć teatru. Krytykują także plan Gorgolewskiego. Zastrzegam, że nie ja krytykuję, bo pod tym względem nie miałem nigdy żadnych pretensyj i siebie nie mógłbym wcale postawić obok tak znakomitych ludzi i fachowych dyrektorów, jak pp. Przybylski, Glückson, Bandrowski, Sahorowski i inni. Słyszałem tylko, a nawet czytałem, że zakładają do współki fabrykę mydła i zapałek. To także — sztuka i nie każdy potrafi utrzymać się na tej wyżynie — artystycznej. Niech im Pan Bóg szczęści — na asy kierowe.

Fundacya Skarbkowska—mająca na celu dobroczynność — pragnąc ułatwić istnienie sceny polskiej we Lwowie, naznaczyła na teatrzyk, zbudowany w swoim gmachu, 2,000 złr. dzierżawy. Czynsz ma obowiązywać od 1-go kwietnia r. b. Zastrzegam, że mi nie chodzi o ścisłość daty lub liczb, lecz o fakt sam, który nie przestanie być prawdziwym, jeżeli termin przewlecze się lub cofnie o tydzień, a czynsz dzierżawy urośnie lub zniży się o setkę. Otóż od 1-go kwietnia gmach skarbkowski będzie oddany nowym dzierżawcom, którzy za teatr żądają podobno 20 tys. złr. rocznie, tj. prawie tyle, ile płacą czynszu za cały gmach. Chodziłoby tylko o przedłużenie dzierżawy do chwili powstania teatru nowego — co pewnie jakie trzy lata potrwa. Teraźniejsi dzierżawcy, a głównie Szydłowscy, dwaj adwokaci, na to się zgodzić nie chcą; tamta strona domaga się ustąpienia, dyrekcya — odmawia.

Niech tam sobie adwokaci rozwiązują sami te adwokackie węzełki. Czy nowi przedsiębiorcy zakupią u dawnych garderobę i maszyneryę, czy lepiej i taniej będzie sprowadzić wszystko z Wiednia, czy też zamiast sztuki popierać przemysł i założyć tak wielką fabrykę nieszkodliwych dla zdrowia zapałek, jakiej nawet Wiedeń nie posiada — o to spierać się nie będę. Bardzo być może, że Lwów pozostanie przez trzy lata bez stałego teatru.

Cho.

TOWARZYSTWO OSAD ROLNYCH.

Mało instytucyi cieszy się takiem poparciem i powodzeniem, jak nasze osady rolne dla nieletnich przestępców. Wyjątkowo potrafiły one dość łatwo zdobyć fundusze niezbędne i następnie je powiększać za pomocą ofiar publicznych, odczytów itd. Dziś należą już względnie do bardzo zasobnych, chociaż jeszcze nie mogą przygarnąć tych wszystkich latorośli skrzywionych i zepsutych, jakie społeczeństwo nasze posiada w swem łonie. Zakłady poprawcze przyjęły się doskonale w świecie cywilizowanym na zachodzie Europy, a ziarno owych urządzeń, stamtąd przyniesione, padło na nasz grunt po raz pierwszy przed 25-ciu laty i wydało już pewne plony. Warto im się przyjrzeć, chociaż pobieżnie z powodu owego ćwierćwiecza, które kresu dobiegło dn. 3-go marca.

Pierwszą myśl założenia nowej instytucyi podał ogółowi Józef Wieczorkowski i wespół z ks. Tadeuszem Lubomirskim przedsięwziął starania, które prędko i bez przeszkód przyszły do skutku. Ustawę zatwierdzono 3 marca r. 1871, poczem zaczęto gromadzić fundusze i pracować nad wyrobieniem przyjaznego usposobienia ogółu. Na prezesa komitetu powołano d-ra Józefa Mianowskiego, ale z powodu jego nieobecności w kraju, faktycznie a później formalnie to stanowisko zajmował główny inicyator, Wieczorkowski aż do r. 1882. Po usunięciu się jego objął owe czynności p. Feliks Sobański, następnie, po czterech latach, p. Ludwik Górski, który aż dotąd jest kierownikiem osad. Wiceprezesami byli kolejno: Józef Wieczorkowski, Feliks Sobański, Edward Stummer i — do chwili obecnej—ks. Mieczysław Woroniecki. Z tych pierwszy i trzeci już nie żyją.

Pierwsze pięciolecie właściwie pochłonęły czynności przygotowawcze. Dopiero po uzyskaniu od skarbu 117 morgów młodego lasu, po wzniesieniu odpowiednich budowli i opracowaniu szczegółowej ustawy kolonii, zatwierdzonej przez ministeryum 7 marca 1876 r., Towarzystwo wydało owoc swych zabiegów — osadę Studzieniecką, otwartą dn. 14 maja r. 1876. Oddano ją do użytku publicznego pod kierunkiem p. Zygmunta Zajewskiego. Po nim byli dyrektorami pp.: Ryszard Puciata Ksawery Nalepiński, Władysław Skłodowski, Edward Zieńkowski i, do chwili obecnej, Włodzimierz Kokowski. Kuratorem był Stefan Okęcki z Babska, następnie od r. 1886, Jan Górski z Woli Pękoszewskiej. Pierwszy wychowaniec dostał się do osady dopiero w pięć miesięcy po jej otwarciu, a z końcem roku było zaledwie 5-ciu. Następnie jednak liczba wzrastała stale. Na r. 1878 zostało 50-ciu, r. 1879—86-ciu, r. 1880—103, 1881—115, 1882—118, 1883—132, 1884—123, 1885—135, 1886—154, 1887—143, 1888—147, 1889—151, 1890—135, 1891—150, 1892—155, 1893—160, 1894—161, 1895—165, wreszcie na r. 1896 zostało 161.

W miarę wzrostu liczby wychowańców rozwijała się osada. Wzniesiono kościół, dom administracyjny i wiele innych zabudowań, których jest obecnie ogółem 16 murowanych i 14 drewnianych. Wychowańcy przechodzą kurs szkoły elementarnej i jednocześnie oddają się pracy w zakresie gospodarstwa rolnego, leśnictwa, chmielarstwa, ogrodnictwa, albo też uczą się w warsztatach: stolarstwa, tokarstwa, szewctwa, kołodziejstwa, stelmachostwa, ciesielstwa, kowalstwa, ślusarstwa i krawiectwa. Stopniowo rozszerzano gospodarstwo rolne i powiększano liczbę warsztatów. Obecnie Studzieniec posiada 88 morgów 69 prętów ziemi uprawnej, 4 mr. 20 pr. łąk, 40 mr. 100 pr. lasu, ogród na przestrzeni 7 morgów i chmielnik na 3-ch. W ciągu dwudziestolecia osada wychowała 890 nieletnich, których uwalniano w sposób rozmaity. Dawniej przestępców tej kategoryi skazywano na termin w wyroku określony. Można go było skrócić o $^1/_3$ dla tych, którzy się dobrze prowadzili, z zastrzeżeniem wszakże, że wrazie złej konduity na wolności, wychowaniec mógł być ponownie ściągnięty aż do całkowitego upływu okresu kary, przez sąd wyznaczonej. Przepisy te zmieniono dn. 20 maja r. 1892. Mianowicie prawo rozszerzyło zakres wypadków, pozwalających sądowi oddawać nieletnich do zakładów poprawczych, a nadto termin zatrzymania w nich przestępców zostawiono do do uznania tych zakładów z warunkiem, ażeby trwał nie krócej niż rok jeden i nie dłużej aż do 18-go roku życia. Młodsi, o ileby po uwolnieniu źle się prowadzili, mają być ponownie zamknięci w osadzie. Przepisy te wielce ułatwiły oddziaływanie instytucyi karno-poprawczej na przestępców nieletnich.

Wogóle Studzieniec uwolnił do chwili obecnej 729 wychowańców. W tej liczbie po odbyciu terminu, określonego wyrokiem, 444, po skończeniu lat 18-tu 75, warunkowo 148, zwrócono władzy sądowej 21, zbiegło 6, zmarło 35. Obecnie przebywa 161, wedle zaś ustawy wolno ich przyjąć 200. Do tej cyfry osada jeszcze dojść nie może z braku odpowiednich funduszów, które pozwoliłyby rozszerzyć budowle i zwiększyć koszt utrzymania. Następnie, w miarę wzrostu środków Towarzystwo rozciągnie opiekę nad dziewczętami i to nietylko skazanemi sądownie, lecz i nad sierotami bez opieki, moralnie zaniedbanemi. Dn. 23 stycznia r. 1890, jak wiadomo, zatwierdzono już ustawę zakładu poprawczego dla dziewcząt, w roku zaś 1891 nadano Towarzystwu dwie osady z lasów rządowych: Nową-Hutę dla rozszerzenia gospodarstwa studzienieckiego i Puszczę Maryańską o kilka wiorst dalej na kolonię dla dziewcząt. Przystąpiono do robót natychmiast i już dn. 31 grudnia r. 1891 przyjęto jedną wychowankę. Kuratorką przytułku jest p. M. Górska z Woli Pękoszewskiej. Przełożoną zaś była najpierw p. Natalia Grzesiewiczowa, a obecnie p. Marya Kośmińska. Etat obliczono zrazu na 12 wychowanek, lecz prawie ciągle jest ich 16. Wedle ustawy, normalna cyfra powinna wynosić 50. Rozszerzenie zakładu do tego stopnia, ażeby można było taką liczbę umieścić, jest obecnie głównym przedmiotem zabiegów Towarzystwa, które właśnie pragnie uczcić swój rok jubileuszowy wzniesieniem gmachu zakładowego. Plan zrobiono i większość materyału już przygotowano, ale brak jeszcze funduszu odpowiedniego.

Wychowanki Puszczy kształcą się na gospodynie wiejskie i służące. Przechodzą kurs szkoły elementarnej i wprawiają się we wszelkich czynnościach praktycznych przy kuchni, wypieku chleba, praniu, ogrodnictwie, chowie bydła, trzody i drobiu, gospodarstwie mlecznem itd. Dotąd, tj. w piątym roku istnienia, zakład przyjął 19 wychowanek, z których jedną, kalekę, umieścił w przytułku nieuleczalnych; dwie zaś uwolnił warunkowo i oddał jako pracownice do gospodarstwa rolnego. Jedna z nich wyszła już za mąż.

Ten krótki przegląd działalności aż nadto wymownie przekonywa o pożytku, płynącym z owej instytucyi. Szkoda tylko, że nieznane nam są subtelności systemów pedagogicznych, niewiemy, czy wychowawcy czynią jakiekolwiek spostrzeżenia, wreszcie jakie są zdolności i siły nauczycielskie. Zakład czuwa, dosyć nawet gorliwie, nad pensyonarzami przez cały okres pobytu w osadach, śledzi ich prowadzenie się i po za jego murami; ale tylko do końca tego okresu nieletności, który jest wymieniony w prawie. Po zatem nic nie wiemy ani o losach wychowańców, ani o ich moralności. Może ta kontrola, ścigająca nieletniego przestępcę aż do wieku dojrzałego i nawet starości, pozornie nie jest zgodna z wymaganiami etyki, jako krzywdząca tych ludzi, którzy spełniwszy przestępstwo w dzieciństwie, zdołali potem zmazać swoje winy i wypielęgnować w sobie szlachetniejsze pierwiastki duszy. W każdym razie kontrola taka mogłaby być prowadzona w formie łagodnej, nie rażącej, materyał zaś, zebrany tą drogą, dałby wiele cennych wskazówek dla wychowawców. Szczególnie zaś należałoby zwracać uwagę na pewne kategorye wychowańców, np. uwolnionych *warunkowo*, których jest dość znaczny procent (148), albo zwróconych władzy sądowej (21). Zadania pedagogiczne przewodników takiego zakładu, jak Studzieniec, są nadzwyczaj trudne, więc nie można przypuszczać, ażeby przez dwudziestoletnią praktykę zdołano dojść do doskonałości. Tutaj bowiem praktyka sama przez się nie wystarcza, zresztą nikt chyba w niej tam nie wytrwał tak długo. Jeżeli do uczenia młodzieży, że tak powiem, normalnej, tj. nie ujawniającej cech i uczynków zbrodniczych, potrzeba wiel-

kich i wyłącznych zdolności, szczególnych zalet charakteru, woli i znacznej sumy przenikliwości, a nawet, jak chce Bjornson, talentów etycznych, to cóż mówić o kwalifikacyach tych kierowników, którzy mają do czynienia z żywiołem różnorodnie zepsutym, niejednokrotnie wydobytym z kałuży zniepravienia, przesiąkniętym obydnymi pierwiastkami życia otaczającego, lub nawet moralnie obarczonym drogą dziedziczną? Tutaj nie można posiąść stałej metody, zapamiętać formuł gotowych, lecz trzeba iść ścieżką mozolnych badań, prowadzonych z osobna nad każdym wychowańcem, trzeba mieć tyle systemów, ile się ma charakterów do wyprostowania. Środek zbawienny dla jednego może być zgubnym dla innych. Od tego zaś w znacznym stopniu zależy i czas pobytu w zakładzie i mniej lub więcej gruntowna naprawa przestępcy. Oto dlaczego położyliśmy nacisk na siły pedagogiczne osad i pragniemy, ażeby zarząd starał się zawsze o wychowawców możliwie najdzielniejszych.

Z. P.

ZORGANIZOWANE PRZESTĘPSTWO.

Rycerskość bandytyzmu przeszła niepowrotnie i tylko czynami tych „bohaterów“ karmi wyobraźnię dorosłych operetka, a młodzieży — literatura sensacyjna lub bajki o wielkich zbójach, którzy obdzierali możnych a wspierali nędzarzy. Szerokie kapelusze, olbrzymie obrosłe postacie z maczugą w dłoni, czatujące przy drodze, całe bandy półdzikich mieszkańców puszczy lub grot górskich, pozostały tylko w legendach. Nie dowodzi to wszakże bynajmniej, ażeby znikło samo zjawisko — wytwór warunków życia. Owszem, istnieje ono, rozrosło się i wżarło z wielką siłą w dzisiejszy rdzeń społeczny. Zmieniła się tylko forma; zbóje i rabusie są na każdym kroku, ocieramy się o nich na ulicy, w miejscach zebrań publicznych, w wagonach wszystkich klas. Może nieraz nawet rozmawiamy z nimi bardzo uprzejmie w drodze, podziwiamy ich elegancyę, wytworność. Wielu z nich nie ma już dziś potrzeby ukrywania się w puszczach i grotach. Mieszkają oni w miastach, osadach i wsiach, niczem się nie różnią zewnętrznie od masy tych warstw, z których pochodzą. Nawet nieraz dla niepoznaki zajmują różne posterunki pracy.

Nadzwyczaj ciekawe oświetlenie i czynniki rozwoju tego smutnego zjawiska podał *Warszawskij Dniewnik* w obszernym artykule, zasługującym na streszczenie: „Tutejsza kronika kryminalna — mówi ten organ — obfituje w procesy różnych band zbójeckich i złodziejskich, wyślizgujących się czasem długo z rąk sądu i sprawiedliwości. Społeczeństwo zaciekawia się głównie czynami złodziejskimi takich głośnych zbójów, jak Orłowski, Malarski, Pawlak, Mielczarek i inni. Tymczasem zło tkwi nie w tych najzuchwalszych złoczyńcach, lecz w warunkach miejscowych, które sprzyjają tworzeniu się band zbójeckich. Wymienieni powyżej są tylko widocznymi owocami bujnej rośliny, wyszukanie zaś i wycięcie wszystkich jej rozgałęzień jest zadaniem o wiele trudniejszem, niż się zdaje tym, którzy zarzucają policyi i organom śledczym władz sądowych brak energii i środków walki skutecznej z tą plagą.“

Dla prowadzenia owych „przedsiębiorstw antispołecznych“ potrzebni są ludzie z różnemi zdolnościami. Do rozboju, rabunku i nawet kradzieży niezbędna jest odwaga i pewna doza sprytu. Do zręcznej sprzedaży zrabowanych i skradzionych przedmiotów potrzeba zupełnie odmiennych cech charakteru, zdolności i „wiadomości praktycznych.“ Zbyteczne jest zuchwalstwo bojownicze, lecz natomiast niezbędna przebiegłość, umiejętność pokrywania pozorami czynów i wogóle zdolności organizacyjne.

Długa linia graniczna na zachodzie Królestwa daje możność prowadzenia przemytnictwa i przyczynia się niewątpliwie do zepsucia słabszych moralnie śród ludności szerokiego pasu od strony Prus i Austryi. Ten wpływ szkodliwy spotęgowały znacznie pewne warunki przyjazne. Jeszcze niedawno, gdy akcyza, pobierana u nas od okowity, była znacznie wyższa, niż w Prusach, kontrabanda utraciła cechę zajęcia mniej lub więcej przypadkowego i przekształciła się na proceder zupełnie zorganizowany. Dopóki akcyza owa nie przekraczała 4 kop. od stopnia spirytusu, póty nie było produktu, przemycanego z za granicy. Dopiero z chwilą podniesienia tego podatku do 5¼ kop., zaczęła się rozwijać kontrabanda na dobre, po podniesieniu zaś do 7 kop. stała się tak zyskowną, że pewna część ludności w całym pasie pogranicznym zaczęła wyłącznie uprawiać ten proceder. Wzięli w tem udział także Żydzi, nie jako przemytnicy, lecz organizatorowie i przekupnie. Urządzili oni stałą asekuracyę spirytusu przemycanego przez granicę, co uchyliło zupełnie ryzyko pieniężne kontrabandzistów, którzy w razie niebezpieczeństwa porzucali naczynia z towarem i tym sposobem łatwiej mogli uniknąć pościgu. W pewnych zakątkach, jak np. na zachodnich krańcach pow. Wieluńskiego, w okolicach Kuźnicy Grabowskiej, wielu włościan małorolnych porzuciło zupełnie gospodarstwo i wobec usunięcia ryzyka przez ubezpieczenie oddało się całkowicie przemytnictwu. Pędzili tedy żywot bardzo wygodny, niepracowity, uprzyjemniając go tanią wódką. Ta gorączka kontrabandy ustała natychmiast z chwilą podniesienia akcyzy od spirytusu w Prusiech, położenie zaś przemytników zawodowych uległo nagłej zmianie. „Chłopu rozpróżniaczonemu — mówi *Warsz. Dn* — przyzwyczajonemu do ciągłych libacyj i lekkiego zarobku, trudno było ująć pług do ręki, poprzestać tylko na tem, co może dawać skromna przestrzeń gruntu własnego i ciężka praca najemna we dworze. Dla niektórych taka zmiana trybu życia była wprost nad siły. Z nich to właśnie wyszedł główny zastęp band złodziejskich i zbójeckich, a ich organizatorowie potrafili doskonale wyzyskać tę chwilę krytyczną w życiu pewnej części ludności w pasie pogranicznym. Od tego czasu wzrosła znacznie ilość szajek i ich siła złodziejska. Wielkie wydłużenie granicy i jej bliskość nietylko ułatwiają ucieczkę ściganym przestępcom tudzież kradzieże koni, ale i zbyt wszelkich przedmiotów skradzionych; z chwilą wywiezienia ich za granicę, wszelkie poszukiwania są bezowocne.“

Głównym i najniebezpieczniejszym żywiołem w bandach zbójeckich są włościanie, szalenie odważni i zuchwali. Inni, przeważnie Żydzi, odgrywają rolę sił pomocniczych. Są to przechowywacze, trudniący się sprzedażą rzeczy skradzionych. Również z tej narodowości pochodzą organizatorowie i przewódcy. Paserzy zaś stanowią główną sieć i są duszą band złodziejskich, agentami, powiernikami i kierownikami wszystkich czynności. Na agentów, bardzo licznych — jak utrzymuje *Warsz Dniewn.*— prawie wcale nie zwracano dotąd uwagi. W Królestwie Polskiem istnieje wiele przewozów przez rzeki, t. zw. promy, nadto różne rogatki, np. przy mostach, gdzie za przejazd pobierana jest opłata. Każdy, kto wjeżdża do miasta lub je opuszcza, kto się przeprawia na drugi brzeg rzeki, nie uniknie wzroku poborcy rogatkowego lub przewozowego i musi korzystać z przewoźników. Dla szajek złodziejskich są to bardzo ważne punkty, które mogą się stać wielce niebezpieczną przeszkodą. Otóż złoczyńcy znaleźli na to radę: obsadzili je „swoimi“ i dokładają wszelkich starań, ażeby zawsze były na ich usługi, szczególnie przewozy; rogatki bowiem można objechać. „Swój“ prom zawsze jest na rozkazy. Kiedy chodzi o powstrzymanie pogoni za koniokradami, przewoźnicy potrafią umyślnie zwlekać z powrotem na drugi brzeg rzeki, pod pozorem jakiejś naprawy. U dzierżawców promów są najczęściej na służbie ludzie, którzy dostają się do więzienia i rot aresztanckich.

Organ, z którego czerpiemy owe dane, radzi, ażeby od dzierżawców rogatek, mostów taryfowych, przewozów itd., tudzież od całej ich służby, żądano chociażby tych rękojmi uczciwości, jakich się wymaga od szynkarzy i żeby posądzanych o kradzież, paserstwo oraz wogóle o utrzymywanie jakichkolwiek podejrzanych stosunków, nie dopuszczać stanowczo do dzierżawienia wskazanych powyżej miejscowości, a nadto — do takich zajęć, jak przy przewozach, rogatkach itd., które należy powierzać tylko ludziom zupełnie pewnym. Dodać trzeba, iż mnóstwo owych miejsc, z przywiązanym do nich dochodem dominialnym jest w posiadaniu osób prywatnych, które w pogoni za większymi zyskami nie bywają wcale wybredne w wyborze dzierżawców rogatkowego, mostowego lub przewozowego.

„Społeczeństwo — mówi *Warsz. Dn.* — powinno pomagać władzom w zapobieganiu przestępstwom i ich tępieniu. Tymczasem widzimy postępowanie, sprzeciwiające się wręcz tej zasadzie porządku publicznego. Czy tacy „panowie“ i „ludzie wykształceni“ mają prawo uskarżać się na brak czujności ze strony policyi i straży ziemskiej na powolny i nieprawidłowy przebieg śledztwa?“

Oprócz wskazanych powyżej placówek, zajętych przez szajki złodziejskie, są jeszcze inne: takie domostwa, z których roztacza się rozległy widok na drogi, idące w różnych kierunkach; dalej punkty, których ze względu na stan dróg niepodobna ominąć. Otóż w tych miejscach należałoby zabronić stałego, a nawet czasowego zamieszkiwania osobom podejrzanym o kradzież, pomaganie złodziejom lub przechowywanie rzeczy kradzionych, a tem bardziej ludziom już kiedykolwiek karanym. Oprócz tych środków, dobrze byłoby zrewidować personel dzierżawców rogatek, przewozów tudzież składu ich służby, wreszcie mieszkańców domów, położonych w punktach przydrożnych, mających szczególne znaczenie dla szajek złodziejskich.

PAMIĘTNIK.

Konkurs rzeźbiarski.

Popis uczestników konkursu rzeźbiarskiego, ogłoszonego przez Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, wypadł arcyskromnie. Jeszcze raz przekonaliśmy się, że albo w naturze naszej brak zdolności do snycerstwa, albo też nie nadszedł dotąd dla niej czas rozkwitu. Po Stwoszu nie mieliśmy geniusza w tej dziedzinie, nie mieliśmy talentów równorzędnych malarskim. Nie mówiąc o Matejce, rzeźba nasza nie może poszczycić się takimi artystami, jak Grottger, Siemiradzki, Brandt, Gierymski, Chełmoński itd. Wprawdzie od czasu do czasu trąby bezmyślnej chwalby dziennikarskiej ogłaszają kogoś polskim Canovą, ale to nikomu siły nie dodaje i rzeczy nie zmienia, a zresztą sami heroldowie, zawiesiw-

szy nowe sitko na kołku, zapominają o starem.

Konkurs Towarzystwa zachęty jest — że tak powiemy — wyścigiem przychówku, nie można więc od jego uczestników wymagać zbyt wiele; lecz można i trzeba wymagać pewnych zadatków artystycznych. Otóż te zadatki, chociaż niewątpliwie są dowodami talentów, wysokością swej miary nie imponują. Wyłączamy p. Lewandowskiego, który już dawno zrzucił mleczne zęby w swej sztuce i którego „Żniwiarka,“ odznaczona drugą nagrodą, pomimo nieładnego uśmiechu, wydaje nam się najlepszą pracą konkursową. Chodzi nam głównie o debiutantów. Szczególnem uznaniem i pierwszą nagrodą wyróżniono p. Laszczkę. Że ten młody artysta, walczący podobno z niedostatkiem, zasługuje na pochwałę i zachętę, że on może w przyszłości dać dzieła cenne — nie przeczymy; ale że jego mizerna kobieta, śpiąca na pieńku tak, jak nikt nigdy nie spał, nazywana to „Zimą,“ to „Konikiem polnym,“ jest robotą, na której wcale nie znać pazurów lwa — to także nie ulega wątpliwości. Wygląda ona raczej, jak poprawne wypracowanie szkolne, w którem widać umiejętność i pilność, ale nie widać tego, co posiada największą wagę — oryginalności. Pospolitość, mnożąca się z płodnością owadów, stanowi plagę wszelkiej sztuki, która zbogacana w ten sposób, nie może nawet doznawać pociechy skarbca, napełnianego monetą jednego stępla. Bo jej bogactwem nie jest ilość, lecz jakość. Życzymy też p. Laszczce przedewszystkiem, ażeby mu starczyło sił do zdobycia się na oryginalność.

„Sabała“ p. Brzegi (już ten odpoczywający w grobie góral powinienby również odpocząć w sztuce), któremu przyznano trzecią nagrodę, jest popiersiem wyciętem ładnie, ale bez śladów ręki szczególnie uzdolnionej. Lichy pies spłatał figla p. Jarkowskiemu w „Psich figlach,“ w których chłopiec ma dużo prawdy. Wspomnieć jeszcze należy o utworach p. Gersonówny, między którymi „Pocałunek,“ a raczej kobieta w nim, odrobiona z wielkim wdziękiem. Przy sposobności zaznaczyć winniśmy, że być może w tej artystce tkwi daleko większy talent, niż się dotąd ujawniał, a budzi ona to podejrzenie niektórymi szczegółami, zdradzającymi coś więcej, niż powszednią staranność.

Wystawa nasion.

Dawno już nie złożyliśmy sobie takiego świadectwa ubóstwa i niedojrzałości ekonomicznej, jak w obecnej wystawie nasion. Przedewszystkiem okazała ona, że maluczko a zniknie zupełnie, gdyż postęp malejący prowadzi ją do niechybnej zagłady, skoro liczba jej uczestników w ciągu lat paru ze 120 spadła do [illegible]. Szybciej cofać się trudno. Gdyby tu chodziło o popis zbytku lub jakiejś hodowli, stanowiącej poboczną gałąź produkcyi miejscowej, możnaby poniekąd usprawiedliwić taką obojętność; gdyby wreszcie uprawa nasion w kraju naszym zmniejszyła się, odpowiednio do wywórczości zredukowana wystawa byłaby również naturalną. Ale nasiona są dla nas produktem pierwszorzędnym, a ich uprawa zwiększa się z każdym rokiem — czemuż więc ich wystawa kurczy się ciągle? Po części już na to pytanie odpowiedział p. Sempołowski, którego pogląd zapisaliśmy w poprzednim numerze *Prawdy*. Ale przyznając słuszność uwagom, że organizacya tych wystaw jest wadliwa, że one powinny rozwinąć się w kierunku handlowym, dającym sposobność do sprzedaży-kupna okazywanych płodów, niepodobna nie dostrzedz i nie podnieść charakterystycznego rysu naszej działalności ekonomicznej: dopóki ktoś dla swego towaru nie ma jeszcze zbytu, nastręcza się z nim ciągle; jak tylko zdobędzie dalszy rynek, w tej chwili lekceważy konsumentów bliżkich, krajowych. Ci, którzy już mają dobrą i poszukiwaną markę dla swych nasion, nic na wystawę nie przysłali; ci, którzy się dopiero o taką markę starają, okazali swoje produkty. Pomijamy tu zupełnie kwestyę obowiązku obywatelskiego, którego najlepiej nie mieszać do spraw ekonomicznych, bo on się wtedy znajdzie w obcem towarzystwie; czy jednakże nawet ze stanowiska interesu dobrem jest takie lekceważenie wystaw krajowych? Niemiec lub Francuz, który zyskał zbyt w całym świecie, nie pomija najmniejszego kącika swej ojczyzny, bo ma to na względzie, że gdy go dalsze rynki zawiodą, bliższy uratuje. My nie kierujemy się tą zasadą i może dlatego nasze przedsięwzięcia są zwykle krótkotrwałe, a nasze stosunki ekonomiczne przedstawiają dziwny obraz. Piotr nasienie sprzedaje za granicę, a jego sąsiad Paweł sprowadza to samo nasienie z zagranicy.

Co do samej wystawy, najpoważniej wystąpili na niej: Rzętkowski (Jeziorko) z kartoflami i Sobieszyn (stacya oraz folwark) ze zbożami. Naturalnie nagrodzeni zostali — wszyscy, co tym razem nie naraziło Muzeum na wielki koszt — brystolu i tektury.

Zawsze to samo.

Jak pogodzić zapewnienia, że ogrodnictwo nasze w ostatnich czasach zrobiło znaczne postępy, z uderzającą jałowością rozpraw na zgromadzeniach w Towarzystwie ogrodniczem? Wszakże tam, gdzie przedmiotem obrad powinny być ciągle wykłady specyalistów, odbywają się popisy oratorskie reporterów i gra we wnioski niby w kręgle, stawiane po to, ażeby je przewracać. Jeżeli p. J. Kaczyński nie wypowie jakiejś pogadanki — a rzadko kto inny go zastępuje — to brzmią nieustanne sola lub duety pp. Skrzyneckiego i Rycerskiego, którzy nie zajmują się ogrodnictwem, ale są płodnymi ojcami najrozmaitszych wniosków. Słuchając tego mielenia słów pustych, mimowoli oglądamy się po sali, czy nie dostrzeżemy na niej kierowników wielkich zakładów ogrodniczych: Ulricha lub Hoserów, znakomitych obserwatorów życia roślin i praktyków: Dursta, Zumbacha, Poznańskiego, Siweckiego i tylu tylu innych, którzy pracują w Warszawie lub na jej krawędziach i którzyby wiele ciekawej nauki dać mogli. Na ostatniem zebraniu, z powodu wydania nr. 400 *Ogrodnika polskiego* (także racya!) jeszcze raz usłyszeliśmy o założeniu Towarzystwa ogrodniczego, jeszcze raz okadzono jego inicyatorów, jeszcze raz ich odfotografowano, jeszcze raz im podziękowano za zasługi i — ale to po raz pierwszy — ofiarowano im godność członków honorowych na wniosek — p. Skrzyneckiego! Jakkolwiek im ten zaszczyt sprawił zapewne przyjemność, wszakże, o ile nam się zdaje, przynajmniej niektorzy z nich woleliby go otrzymać drogą poważniejszą. Lecz to jest sprawa podrzędna; ważniejsza, ażeby Towarzystwo wyszło co prędzej z okresu jałowych pomysłów, natchnionych projektów ludzi niezdolnych rozwiązywać jego zadań, cyceroniady reporterskiej i samoadoracyi, a wstąpiło w okres praktycznego wpływu na specyalną wiedzę i pracę społeczeństwa, o co się ciągle dopominamy. Coś tam mówiono o hodowli drzewek dla włościan... Czekamy.

Codzienny przysmak

Czy rzeczywiście życie nasze jest puste, czy też jego kronikarze nie mogą w niem dostrzedz objawów poważniejszych? Gdzie to na świecie drukują się w pismach peryodycznych takie obszerne, jak u nas, rozprawy o rautach, balach, wyścigach konnych, zabawach sportowych itd. W szelkie ucieche mają szczególny przywilej odurzania naszych umysłów, ale są wypadki, w których trudno dostrzedz słabość do rozwałkowywanego przedmiotu i raczej przypuścić trzeba chęć zapchania czemś pustych kolumn gazety. Weźmy np. wystawę hygieniczną. Ażeby ona zajmowała istotnie naszych kośników i zgrabiaczów siana dziennikarskiego — nie wierzymy, jest bowiem dla nich przedsięwzięciem za poważnem, a oni poważnych rzeczy nie lubią, jak koty dymu. Czemuż jednakże zawiadamiają nas skrupulatnie o każdej nawet najdrobniejszej naradzie członków komitetu tej wystawy? Jeżeli dwu z nich zbierze się dla zdecydowania, czy ścieżki placu wysypać żwirem, czy korą dębową, w tej chwili reporterzy telefonują o tem ważnem zdarzeniu do swych czytelników, którzy—prenumerując kilka pism—spożyć muszą nieraz kilka porcyi dziennie nieistniejącej wystawy hygienicznej. Podnosimy tę kwestyę z dwu względów: 1) ażeby przypomnieć naszym „przewodnikom życia,“ „twórcom opinii publicznej,“ krótko mówiąc, reporterom, obowiązek i potrzebę wyczerpywania całego materyału spraw bieżących, nie zaś ustawicznego dojenia jednej; 2) ażeby przesada doniesień i obietnic — jak to u nas często się dzieje — nie zrodziła przesady w nadziejach i rozczarowaniach. Niejeden, kogo przez rok codzień karmiono wiadomościami o wystawie hygienicznej, zobaczywszy ją wreszcie, zawoła oburzony; wartoż było na to tak długo bębnić!

Niezawodny środek

Kilka pism ponawia stale ostre wyrzuty kolei Wiedeńskiej za jej lekceważenie publiczności. Że ta szanowna macierz tutejszych dróg żelaznych nie wiele sobie robi z tych, którzy jej dostarczają wysokich pensyj i dywidend, o tem dawno wiadomo. Ale żeby środki, zalecane przez niektórych jej krytyków, prowadziły do celu, mocno wątpimy. Kiedy bowiem przed kilku i kilkunastu laty zwracaliśmy uwagę na nieporządki i niedbalstwo tej i innych kolei naszych, nikt nam w tych oskarżeniach nie wtorował, a najbardziej dziś zawzięte w gniewie organy prasy milczały, zadowolone anielską zacnością i dbałością wszystkich od dyrektorów do konduktorów. Tymczasem nastąpiła zmiana — nie w zasadach obsługi pasażerów, ale w grzeczności względem... prasy. Nagle zaczęto przygryzać zwłaszcza Wiedeńskiej, wykazując jej urąganie najelementarniejszym prawom publiczności. Otóż według naszego przekonania, jedynym sposobem usunięcia złego, które rzeczywiście jest wielkiem, byłoby... pomnożenie biletów wolnej jazdy w kierunku wiadomym. Wtedy z pewnością *Prawda* i inne organy, „nieznające się na rzeczy,“ będą dalej grymasiły, ale wiele pism, dziś mocno rozgoryczonych, odzyska humor i nie dostrzeże żadnych nieprawidłowości w zarządzie kolejowym. *Probatum est.*

Pralnie warszawskie.

Pisma nasze lubią czasem uprawiać dorywczą statystykę, która wszakże bywa bardzo wymowną. Oto według wykazów reporterskich, w roku przeszłym Warszawa posiadała 385 pralni, gdy przed dziesięciu laty było ich zaledwie 115. Inny przykład: przy ul. Marszałkowskiej i Nowym Świecie w r. z. zbankrutowało 8 tych zakładów, a natomiast powstało nowych 11. Skąd pochodzi taki upór współzawodnictwa? I tutaj wyjaśniono nam tajemnicę: Najchętniej obierają sobie ów „sposób życia“ wydziedziczone szlachcianki; one więc dają największy procent tego rodzaju procederzystek i... bankrutek. Pewien właściciel wielkiego magazynu bielizny odkrył nam tajemnice przedsiębiorstwa prania, które zasługuje na uwagę, jako cząstka życia ekonomicznego, rozwijającego się nienormalnie. Dla nieświadomych rzeczy pralnia przedstawia się jako korzystny interes, tem bardziej, że nie wy-

maga ani wiedzy, ani praktyki fachowej i niezbyt drogo kosztuje. Kto ma kilkaset rubli, uratowanych w katastrofie majątkowej, kupuje sobie taki „zakład renomowany, dobrze procentujący.“ Osoba, nabywająca go, widzi ruch ciągły, liczne pracownice, zajęte od rana do późnej nocy, więc nabiera przekonania, że istotnie może to być korzystne przedsiębiorstwo. Kupuje tedy bez wielkiego targu „firmę,“ stare żelazka, stoły, balie i inne sprzęty. Po kilku dniach spostrzega wszakże, iż ruch słabnie, prasowaczki niesforne i niedołężne psują bieliznę; okazuje się, że to i owo zużyte, trzeba więc naprawić lub kupić. Powodzenie zakładu było wywołane sztucznie, za pomocą zniżki cen itd. dla zachęty do kupna. Nowa właścicielka najdalej po miesiącu gospodarki widzi znaczny niedobór, więc co prędzej sprzedaje pralnię ze stratą, byleby wycofać chociaż cząstkę włożonego kapitału. Tym sposobem, jak nas zapewniano, jeden zakład przechodził z rąk do rąk czternaście razy w ciągu roku. Oczywiście w takich warunkach nie może być mowy o rzetelnem i umiejętnem prowadzeniu przedsiębiorstwa, tem bardziej, że jest ono oparte na pracy lichej, niedołężnej. Prawie wszystkie prasowaczki są przygodne, które dlatego poszły do pralni, że nie znalazły innego zajęcia. Pomimo to mają one tam stosunkowo niezły zarobek, dochodzący do rubla dziennie przy płacy od sztuki. Pewien właściciel magazynu bielizny (który nam tych szczegółów udzielił), nie mogąc dobrać sobie pralni odpowiedniej, założył własną, sprowadził do niej parę prasowaczek... z Berlina i przekonał się, że praca ich jest o wiele intenzywniejsza, a robota zgrabna i umiejętna. Każda z tych pracownic potrafi wyprasować dziennie od 15 do 19 tuzinów kołnierzyków, gdy u nas taka, która wykończy 6 lub 7, jest już bardzo poszukiwana. Właściciel magazynu bielizny musiał jednak zwinąć swoją pralnię, bo mu się popsuły berlinki w otoczeniu niezdarnych warszawianek. Po powrocie do miasta rodzinnego zapewne znowu się poprawiły wobec współzawodnictwa dzielnych towarzyszek. Inaczej być nie może, gdyż tego rodzaju pracownica niemiecka poświęca się obranemu fachowi stale od dzieciństwa. Tym sposobem dochodzi do wielkiej wprawy i umie traktować swe rzemiosło rzetelnie. U nas w danej chwili nie można myśleć nawet o wcieleniu pralni do organizacyi cechowej, bo niema nietylko mistrzyń i podmistrzyń, ale także czeladniczek i terminatorek. Właścicielkami bowiem są przeważnie wykolejone posiadaczki skromnych fundusików; ulokowałyby je tak samo w sklepiku lub składzie węgli, gdyby ktoś wcześniej nastręczył kupno. Pracownice zaś dlatego się wzięły do żelazka, że na razie nic znalazły innego zajęcia. Całe więc przedsiębiorstwo, kierowane przez niefachowych, oparte jest na pracy wyrobnic. Należałoby tedy zacząć reformę od wykształcenia odpowiedniej liczby praczek i prasowaczek za pomocą szkoły praktycznej, urządzonej wraz z pralnią wzorową, jako warsztatem. Następnie zawiązanie spółki skierowałoby przedsiębiorstwo na lepszą drogę i dałoby mu mocniejsze podstawy. Zyskaliby na tem nietylko stowarzyszeni tudzież pracownice uzdolnione, ale i ogół, który miałby bieliznę praną lepiej i taniej.

—z.—

Przynęty.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia Warszawa rozwinęła się ogromnie pod wielu względami i spotęgowała wszelkiego rodzaju gorączkę swej ludności. Obok szału gry loteryjnej, giełdowej i totalizatora, przybywa coraz więcej aferzystów i różnych przedsiębiorców, zjadających się wzajemnie. Wielu z nich gra i głównie wygrywa na słabościach lub namiętnościach ludzkich, najzupełniej bezkarnie. Do takich należą między innymi właściciele restauracyi, którzy dla współzawodnictwa i szybkiego nabicia trzosa używają przedewszystkiem dwu środków: przedłużenia godzin otwarcia „interesu“ w nocy i ściągania publiczności przynętami estradowemi. O ile to jest muzyka jaka taka, i owszem, niech sobie grywa, byle nie rozdzierała uszu, bo przecież hygiena stawia ją na równi z sosami, ułatwiającymi trawienie. Ale to już nie wystarcza aferzystom, więc coraz bardziej rozpowszechniają się w jadłodajniach naszych popisy leciwych różnojęzycznych szansonistek o głosach brzęczących, przepitych i przedartych. „Przedstawienia“ te urozmaicają kuglarze, gimnastycy tancerze, kupleciści, słowem — tłum poszukiwaczy lekkiego zarobku, którym zima utrudnia zbieranie datków kucharek na podwórzach. Niektóre jadłodajnie, celujące w urozmaicaniu tych zabaw, potrafiły ściągnąć jeszcze inne przynęty: znalazły tam przytułek *nocturna ora*. stworzyły targowiska, ożywiające się najbardziej późną nocą. Dla procederzysty jest to interes świetny, bo mało miłośników zakładu sarka na złe, niezdrowe jadło i słone ceny. Gabinety zaś, w których ciemne gwiazdy sceniczne, promieniejące brylantami, popijają szampana wespół z gośćmi,—przynoszą bodaj największy dochód, ztamtąd bowiem wychodzą setki, ściągane według obliczeń dowolnych. Trzeba przyznać takim zakładom, iż odgrywają one znaczną rolę ekonomiczną i społeczną: oprócz bowiem sprowadzania ruiny materyalnej, tępią energię i wyjaławiają umysły. Można byłoby w tej mierze wprowadzić pewne oszczędności publiczne, tj. ustanowić czas zamykania restauracyi najpóźniej o 12-ej w nocy, bo doprawdy nie wiem dlaczego niektóre z nich mają przywilej rozweselania gości do 3 lub 4-ej? Prawo fabryczne ulitowało się nad rzeszami robotników: ograniczyło pracę nocną; tylko kelnerzy i kelnerki czuwają niemal noc całą, bo jeszcze po wyjściu gości muszą doprowadzić sale i gabinety restauracyjne do porządku, tudzież zdać rachunki.

—*p.*—

W DALI

Żytomierz. W pow. dubieńskim hodowla koni i bydła zupełnie upadła. Do jakiego stopnia konie są drobne i nędzne, świadczy fakt, że chłop na jarmarkach nie szuka konia droższego nad rs. 3 do 5, a żydzi potrafią kupić i za rubla. O ile w cyfrach tych nie ma fantazyi korespondenta, z którego doniesienia czerpiemy ową wiadomość, zjawisko to istotnie jest niezwykłe. — W Żytomierzu wolno będzie wkrótce odbierać w domu listy pieniężne na sumę rs. 100. — Dnia 2 lutego otwarto ruch kolejowy na odnodze krzemienieckiej. Oprócz ruchu pasażerów i zboża, spodziewany jest przewóz lignitu, którego są obfite pokłady w okolicy.

Kijów. Kontrakty znacznie się ożywiły. Komitet Towarzystwa rolniczego, korzystając z tego ożywienia, urządził dość bogatą wystawę nasion. Najwyższą nagrodę — medal złoty, otrzymał p. Bohdan Chanienko, prezes kijowskiego syndykatu rolniczego. Wystawił on wyborne nasiona ogrodowe, kwiatowe i warzywne, pochodzące z gospodarstwa, prowadzonego na 60-ciu dziesięcinach gruntu przez kilkunastu wykształconych agronomów specyalistów i kilkunastu ogrodników. Przedstawicielami specyalnych gospodarstw nasiennych byli: p. Konstanty Buszczyński i Michał Łążyński z Niemiercza, Henryk Zbyszewski z Kamionki, Leoncyusz Rogoziński z Konstantynówki, Brunon Starorypiński z Korabczejówki, Marya hr. Branicka z Białej Cerkwi, Władysław Perro, Bałaszew, Ludwik Jankowski, Saryusz-Zaleska, ks. Repnin, hr. Potoccy, Leon Modzelewski, Łukaszewicze i Jełaczic. Pierwsze miejsce zajęły nasiona buraków cukrowych, których hodowla w kilkunastu gospodarstwach kraju południowo-zachodniego stanęła tak wysoko, że w niczem nie ustępuje zagranicznej. Najwyższą cukrowością odznaczają się nasiona białocerkiewskie, gdzie selekcyę prowadzi dr. Feliks Kudelka, b. profesor uniwersytetu wrocławskiego. Następnie wyróżniły się wysokimi gatunkami z zakładów selekcyjnych pp. B. Starorypińskiego, M. Łążyńskiego i K. Buszczyńskiego. Wystawiono także nasiona owsa najwcześniejszego selekcyjnego, który dojrzewa w ciągu 74 dni i może być siany przez jedno lato dwa razy. Znalazły się tam i nasiona leśne (hr. Potockich), tytoniu i machorki, miód, oleje z Humania, wreszcie mąkę aż z Rostowa nad Donem.

Mohylów nad Dnieprem. Przed paru miesiącami zakończył życie Benedykt Bohomolec. Cały swój kapitał, wynoszący przeszło rs. 15,000, zapisał włościanom ze wsi Wydrei, leżącej w pow. Oszmiańskim, gdzie uprzednio posiadał majątek ziemski. W testamencie zaznacza, iż tym sposobem chce wynagrodzić włościan, których pracę uprzednio zbyt wyzyskiwał. Procenty z sumy powyższej mają być corocznie rozdawane tym, którzy cierpią od nieurodzaju, gradu, ognia lub innej klęski. — *Wiek* podaje ciekawe szczegóły o zbóju, teroryzującym ludność w pow. Sienneńskim, głównie zaś okolicy miasteczka Krupki. Silnie zorganizowana banda złoczyńców pod wodzą Tarasa Paramonieńki stała się postrachem wszystkich dworów i wsi. Wyjątkowo noc przechodzi spokojnie bez napadu. Uprzednio kościół w Siennie zrabowano na sumę rs. kilku tysięcy. Jeden z włościan dał raz znać władzy policyjnej o miejscu pobytu strasznego Tarasa. Zrobiono wówczas na niego ogromną obławę, w której udział wzięło około dwóch tysięcy chłopów. Taras jednak zdołał umknąć; w kilka dni potem znaleziono na polu zwłoki tego, który wskazał przewódcę. Odtąd przerażeni włościanie przypisują jakieś czarodziejskie własności strasznemu zbirowi, pozwalają mu broić bezkarnie, nie alarmując wcale miejscowej policyi. Taras Paramonieńko jest zbiegiem z Syberyi, gdzie był skazany do ciężkich robót. Jest to, jak powiadają, człowiek nadzwyczaj zręczny i przebiegły.

Petersburg. *Praw. wiestn* (№ 26), zamieszcza doroczne sprawozdanie oberprokuratora Św. Synodu, P. Pobiedonoscewa. „Eparchia warszawsko-chełmska z końcem roku 1893 liczyła 410,395, osób obojej płci; należą one przeważnie do przyłączonych z b. unitów, w różnym stopniu i z niejednakiem przywiązaniem oddano są sprawie prawosławia. W parafiach z mieszanemi wyznaniami, zwłaszcza w guberniach Siedleckiej i Suwalskiej, uprawia też kościół katolicki na wielką skalę tajemną propagandę. Wobec takiego położenia cerkwi prawosławnej w tych miejscowościach, działalność duchowieństwa rosyjskiego zmierza głównie do tego, aby przyłączonych umocnić w prawosławiu a zarazem obronić ludność prawosławną od wpływów propagandy inowierczej. W poczuciu doniosłości tego zadania, duchowieństwo zarówno z kazalnicy jako też przy zaspokajaniu potrzeb religijnych po domach, starało się zawsze uwydatnić ze szczególnym naciskiem prawdy prawosławia i zachęcić parafian do regularnego odwiedzania cerkwi. Bardzo skuteczny wpływ na umocnienie poczucia moralno-religijnego wywierały konferencye. Do krzewienia prawosławia w guberniach nadwiślańskich przyczyniają się również szkoły parafialne, których w końcu roku 1893 było 15; w tym samym duchu pracowało także 12 szkół do czytania i pisania oraz szkoła niedzielna w Chełmie. Uczęszczało do nich 1175, dzieci, w tej liczbie 154 inowierczych. Niedawno jeszcze pozyskani dla cerkwi prawosławnej unici, znali polskie wyłącznie modlitwy, gdy teraz przeciwnie—znajomość rosyjskich, acz powoli, czyni wszędzie postępy. Wogóle stwierdzić można, że pomimo nieprzyjaznych warunków miejscowych, ludność pozyskana dla cerkwi prawosławnej, umacnia się stopniowo, aczkolwiek powoli, w swej wierze.“

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

Organizacya handlu zbożowego w Ameryce i Europie, oraz warunki jej powstania. — Handel zamorski tworzy się pod wpływem rynku międzynarodowego. — Giełdy i stosunek ich do ziemianina.

Stosunki, istniejące za Atlantykiem w zakresie handlu zbożowego, ukształtowały się w sposób odmienny od wzorów, które widzimy w naszej części świata. Konkurencya zamorska daje się bardzo dotkliwie we znaki ziemianom europejskim: transporty zboża, nadchodzące ze Stanów Zjednoczonych, przeciskają się coraz dalej, w Anglii zaś coraz wyłączniej zagarniają rynki tylko dla siebie. Najmniejsza okoliczność, często zdawałoby się bez żadnego znaczenia, stanowi już wyłom, przez który przedziera się potok, napływający z Ameryki. Współzawodnicy zamorscy odznaczają się niezwykłą rzutkością. Zdawać się komuś może, iż tam istnieją niezmierne zbiorniki zboża, z których ono natychmiast wychodzi, jak tylko zmieni się ciśnienie na rynku europejskim. Taka elastyczność jest może najniebezpieczniejszą właściwością konkurencyi amerykańskiej. Wiąże się zaś ona jak najściślej z organizacyą handlu tamtejszego. Maszynerya, która pośredniczy pomiędzy wytwórcą amerykańskim a spożywcą europejskim, odznacza się taką doskonałością swego urządzenia, taką ruchliwością i giętkością, że ostatecznie rozstrzyga o zwycięztwię. Warunki produkcyi zboża w porzeczu rz. Czerwonej i w innych okolicach Związku północno-amerykańskiego pozwalają otrzymywać plony z mniejszymi kosztami, niż w Europie. Ale gdyby współzawodnictwo zamorskie opierało się tylko na tej podstawie, niebezpieczeństwo dla ziemian naszej części świata nie byłoby jeszcze tak groźne. Dopiero udoskonalona organizacya handlu stanowi o wygranej kuma Jonathana: jest ona taranem, który z nadzwyczajną lekkością wyrzuca olbrzymie masy zboża na znaczną odległość, tymczasem nasza maszynerya pośrednicząca, to prosty rydel, którym zaledwie możemy głaz podważyć.

Handel zbożowy, europejski i amerykański, powstały w zgoła odmiennem otoczeniu historycznem, to zaś wycisnęło swoje piętno na ukształtowaniu jednego i drugiego. Rolnictwo europejskie datuje się oddawna, ziemianin starej daty gospodarował nie troszcząc się o zbyt produktów, bo uprawiał ziemię nie po to, ażeby ciągnąć zyski ze sprzedaży, ale dla zaspokojenia własnych potrzeb. Dopiero powoli, przez wieki, gdzieś po zagospodarstwami, utworzył się rynek na płody rolne i objemował naprzód okolice sąsiednie, później zaś dalsze. Handel zbożowy, ukazawszy się w takich warunkach, jeszcze po dzień dzisiejszy nie zdołał zrzucić z siebie powijaków, w jakich przyszedł na świat. Polega on, jak dawniej, na sprzedaży bezpośredniej zboża. Tranzakcye terminowe na lądzie Europy mają znaczenie bardzo podrzędne. Wogóle, w handlu zbożowym naszej części świata widzimy dwie odmienne formacye, wyraźnie się oddzielające. Jedna z nich, oparta na sprzedaży zboża za gotówkę, wyrosła na gruncie wzorów tradycyjnych. Druga jest dziełem rynku międzynarodowego (dokładniej: angielskiego), na nim bowiem powstała i z niego wyszedłszy, rozszerza się coraz dalej, lecz wszędzie na lądzie naszym przedstawia małą rozległość. Istnieje ona, jako oliwa na wodzie i nie zlewa się z całokształtem życia. Odrazu widać, że jest to wtręt późniejszy. Zasada tranzakcyj terminowych, właściwa tej drugiej formacyi, rozpowszechnia się wprawdzie, lecz napotyka tyle trudności, że wzrost jej jest i musi być bardzo powolny. Z konieczności, wobec olbrzymich obrotów, tego rodzaju tranzakcye wymagają np. ujednostajnienia zboża. Kupcy muszą „robić towar“ z nabytej pszenicy, żyta i innych zbóż, tj. mieszają w stosowny sposób swoje zakupy, ażeby dostać produkt, odpowiadający zamówionej nomenklaturze. Towar, tą drogą otrzymany, czyni wprawdzie zadość warunkom umowy, ale niekiedy składa się z tylu odmian i tak różnych, że młynarz znalazłby się w kłopocie, gdyby miał użyć takie zboże. Nie chcąc się więc narażać na zawód, woli kupować bezpośrednio w spichlerzach, w których ma produkt do wyboru, i sam robi z dokonanych zakupów towar dla siebie najodpowiedniejszy. Taka zaś wadliwość mieszaniny pochodzi znowu z przyczyn głębszych, bo wypływa z natury europejskiej produkcyi rolnej: w każdym majątku i nawet na każdym zagonie włościańskim, sposoby uprawy, jakość gruntu, warunki klimatyczne, zanieczyszczenie są różne i wraz z tem niejednakowość otrzymanego ziarna wprost nie ma granic. Zboże więc tej samej nomenklatury giełdowej może powstać ze zmieszania bardzo różnych odmian — pomiędzy jednym a drugim wielkim transportem niema ciągłości jakościowej. Życie nie sprzyja tranzakcyi terminowej, która przecież stanowi zasadniczy warunek dla sprzedaży na rynku międzynarodowym.

Inaczej dzieje się za Atlantykiem. Rolnictwo zamorskie zagarniało coraz dalsze terytorya pod wpływem *już* istniejącego rynku międzynarodowego. Karczowano dziewicze grunty tylko po to, ażeby wytwarzać na sprzedaż. Normy handlu kształtowały się więc od samego początku według wymagań wymiany międzynarodowej. Wobec olbrzymich przestrzeni, jakie istnieją w Stanach Zjednoczonych, oraz skutkiem tego, że cały przyrost produkcyi był obliczony na wywóz do Europy, rozwinął się zwyczaj zawierania umów na oznaczony termin, które regulowałyby czas i rozmiary transportów, wysyłanych do naszej części świata. Produkcya sadowiła się na odpowiednich miejscach: stop pszenny, wzdłuż i wszerz, odznacza się jednostajnością klimatu i gleby. Dodajmy do tego jednostajność metod uprawy, a zrozumiemy, że ziarno amerykańskie nie przedstawia tak wielkich różnic, jak w Europie: nomenklatury giełdowe są u nas rzeczą sztuczną, o której rolnik nie słyszał, ze zboża dopiero trzeba „robić towar,“ tymczasem za Atlantykiem przyroda sama produkuje odpowiednie ziarno, i klasyfikacya giełdowa jest poniekąd tylko sformułowaniem różnic naturalnych. Młynarz tamtejszy z góry jest pewny, że tranzakcya terminowa nie sprawi mu zawodu co do jakości towaru, ukrywającego się pod umówioną nazwą. „Istotne tranzakcye,“ t. j. zakupy natychmiastowe zboża, zeszły na giełdach amerykańskich do minimum, terminowe zaś zapanowały prawie wyłącznie i rządzą posuwaniem się zboża z jednego rynku na inny, np. w pierwszej połowie r. 1887, na giełdzie zbożowej nowo-yorskiej sprzedano w tranzakcyi natychmiastowej tylko 49 milionów buszli pszenicy, w terminowej zaś około 868 mil., tj. umowy ostatniej kategoryi stanowiły 95% całego obrotu!

Wraz z tem giełda zyskała za morzem niezmierne znaczenie, zagarnęła ona bowiem cały wywóz zboża do Europy iześrodkowała w swoich murach wszystkie obroty, wybiegające po za zaspokojenie potrzeb okolicy, w której wyprodukowano ziarno. Handel europejski to jakby sieć jezior i bagnisk, z których tylko przez pewne przebiega prąd bieżącej wody—wymiany, uskutecznianej za pośrednictwem giełd; tymczasem obroty zamorskie to sieć olbrzymich nurtów, stojące zaś wody są tam bardzo nieliczne. Cyfry, wykazujące rozmiary tranzakcyi, dokonanych na giełdach amerykańskich, są bardzo charakterystyczne. Np. biorąc przeciętne liczby z okresu z lat 1885—1893, otrzymujemy tabliczkę bardzo wymowną:

Zbiór pszenicy w Stanach Zjed.	455	milionów buszli
wywóz do Europy	137	„ „
rozmiary dowozu do N. Yorku .	37	„ „
obroty na giełdzie N. Yorskiej .	3,363	„ „

Przeciętny więc obrót roczny na giełdzie w N. Yorku jest trzy razy większy, aniżeli cała produkcya roczna pszenicy w Stanach Zjednoczonych, 10 razy zaś, niż wywóz do Europy; dowóz pszenicy do tego portu wynosi 36 razy mniej, niż ogół tranzakcyj! Jeszcze żywszy ruch panuje na giełdzie chicagoskiej, która uchodzi za najgłówniejsze ognisko handlu zbożowego. Oceniają przeciętny roczny dowóz tego ziarna do Chicago w ciągu lat 1888—1893 na 27 milionów buszli, obroty zaś tam dokonane zbożem, na $7\frac{1}{2}$ miliardów, tj. przewyższałyby one dowóz 275 razy, całą zaś produkcyę pszenicy w kraju 16 razy! Cyfry te bynajmniej nie są przesadzone, bo mamy pod ręką jeszcze wyższe oceny. O możliwości takich stosunków świadczą także rozmiary pojedynczych tranzakcyi, np. ktoś w dniu 23 lipca 1892 r. rozporządzał aż 25 milionami buszli pszenicy (tj. ilością, nie ustępującą jednorocznemu zbiorowi tego zboża w Królestwie). Jednorazowe sprzedaże, wynoszące po milionie buszli, zdarzają się od czasu do czasu na giełdzie chicagoskiej i przestały być tam rzadkością.

Naturalnie, w takich warunkach giełdy są potęgą, regulującą poziom kursów w kraju. Ostrze tej regulacyi jest zwrócone przeciw rolnikom Stanów Zjednoczonych. Część plonów, idąca na rynki zagraniczne, rozstrzyga o cenach nawet tego ułamku, który ginie w czysto miejscowych łożyskach zbytu, nie dosięgając giełdy. Odpowiednio do tego, czy drogi odpływu zboża do Europy są wolne lub zatamowane, oraz jak ukształtowały się konjunktury na rynku angielskim, ceny produktów rolnych w Ameryce idą do góry lub spadają. Pośrednik zamorski musi przyjąć ceny liwerpoolskie i londyńskie jako rzecz daną, nie podległą zmianie, i przystosować do niej całą swoją taktykę handlową. Wywóz tylko wtedy opłaca się, gdy różnica pomiędzy ceną na rynkach angielskich a miejscowych, amerykańskich, jest dostatecznie wielka i zdoła pokryć koszty transportu przez ocean. Zyski pośredników wzrastają z jej rozległością. Ponieważ kupcy zbożowi zamorscy nie mogą oddziaływać na poziom cen na rynku międzynarodowym (zależą one od wzajemnego stosunku pomiędzy potokami, przybywającymi z rozmaitych stron), przeto zarobek ich jest w związku z wywołaną zniżką we własnym kraju. Giełda więc zbożowa w Stanach Zjednoczonych jest stałe miejscem dążności zniżkowych i działa za pomocą najrozmaitszych fortelów, zwłaszcza w okresie po żniwach, kiedy rolnik sprzedaje swoje zbiory. Między innemi używa w tym celu „listy cen.“ Ceny, po których fermer sprzedaje zboże, tworzą się według kursów znanych pod nazwą „closing prices,“ tj. tych, które panowały danego dnia na giełdzie w ostatniej chwili przed zamknięciem w istotnych tranzakcyach, zawieranych na ziarno, dostarczane natychmiast. Tablicę kursów układa odpowiedni komitet giełdowy na podstawie warunków umów i rozsyła ją tego samego dnia do wszystkich stacyi kolejowych danego terytoryum. Korzystając z tego, giełdziarze uciekają się do następującego fortelu: każdy z możnowładców

handlu zbożowego, potrzebujący za dni parę dokonać bardzo wielkich zakupów zboża bezpośrednio od fermerów, sprzedaje pewną ilość przenicy po cenach nizkich. Na razie traci, ale niebawem odbija sowicie tę stratę, bo nabywa zboże od rolników według „closing price,“ ułożonej na podstawie takich tranzakcyi. Dr. H. Schumacher*), z którego pracy korzystamy, nawet twierdzi, że sprzedaże takie są w znacznej części tylko pozorne. Zapisano je do ksiąg giełdowych jedynie po to, ażeby poddać ich wpływowi kursy zboża na wsi! Równie spółki elewatorskie stale hołdują zasadzie zniżkowej. Poprzestają one na zyskach z różnicy nomenklatur klasyfikacyjnych i nie uganiają się za zwyżką. Każda nazwa bowiem obejmuje pewną skalę wahań w jakości zakupionego zboża. Różnice te, przy zakupie bezpośrednim od fermera, nie bywają uwzględniane, ale elewator wyzyskuje je, bo przy sprzedaży trzyma się tylko minimalnej granicy danej nomenklatury, inne zaś miesza i puszcza w świat jako wyższy gatunek.

Zgodnie więc z naturą rzeczy, organizacya pośrednicząca systematycznie spiskuje przeciw rolnikowi. Zresztą już w listopadzie cały plon znajduje się w ręku pośredników, którzy rozpoczynają swoje spekulacye. Na giełdach toczą się zacięte walki, w których jedni wygrywają miliony, drudzy zaś tracą. O napięciu tych wypadków może dać pojęcie ta okoliczność, że w ciągu 9 dni ostatnich września 1888 r. ceny buszla pszenicy podniosły się z 91 centów na 2.00! Musimy jednak nadmienić, że wielkie a zamożne firmy zbożowe rzadko uczestniczą w takich spekulacyach i poprzestają jedynie na wyzyskaniu sytuacyi, utworzonej naturalnym zbiegiem zdarzeń. Ale burze giełdowe szalejąc nie dosięgają ziemianina. Swoją drogą pociągają go i rozpalają jego chciwość. W Stanach Zjednoczonych istnieje około 1,500 pokątnych giełd zbożowych, tak zwanych „bucketshop'ów,“ spekulujących na zwyżce i zniżce — są to zakłady w rodzaju naszych kantorów giełdowych, pośredniczących pomiędzy giełdą a publicznością podczas zeszłorocznej gorączki spekulacyjnej. Rolnicy grają tam stale na zwyżkę i podobnie stale zgrywają się. Ale te kryjówki szwindlu nie mają nic wspólnego z właściwą giełdą, która, w porównaniu z ogromem swoich obrotów, może więcej opiera się szałowi spekulacyjnemu, niż jej siostrzyca europejska.

Widzimy więc, jak organizacya pośrednicząca w Ameryce zupełnie zerwała „czucie“ z rolnikiem swojego kraju. Opierając się na poziomie kursów zboża w naszej części świata, stwarza ona w Stanach Zjednoczonych sztuczną i stałą dążność zniżkową. Za pomocą różnych środków zmusza rolnika sprzedać jej ziarno zaraz po żniwach. Olbrzymie zbiory całego kraju, już od października, spoczywają w elewatorach i są przedmiotem spekulacyi i obrotów, przewyższających wielokrotnie rozmiary zapasów—jest to już walka, tocząca się pomiędzy pośrednikami i nie obchodząca ziemianina. Ale fermer, acz wyzyskiwany, nie może obyć się bez organizacyi giełdowej, bo jej istnienie jest niezbędnym warunkiem pomyślnego współzawodnictwa ze zbożem innych krajów na rynkach europejskich: ona to konkurencyi zamorskiej nadaje rzutkość i elastyczność.

K. R. Ż.

*) Schuhmacher: die Getreidebörsen in den Vereinigten Staaten v. Nordamerika. (Jahrbücher für National ökonomie u. Statistik, 1895. IX tom, II zeszyt).

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Senat wyjaśnił, że dla wzięcia udziału w licytacyi publicznej majątków ziemskich, sprzedawanych w kraju południowo-zachodnim za długi prywatne, jest niezbędne obok pozwolenia generał-gubernatora, upoważnienie także ministeryum dóbr [illegible].

— Wkrótce będzie dokonany próbny jednodniowy spis ludności w państwie. (*Now. Wr.*).

— Po załatwieniu sprawy regestracyi rządowej przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, utworzone będą posady regestratorów przy kantorach i oddziałach Banku państwa. (W Warszawie pensya ma wynosić 1,200 i 1,800 rs.). Regestratorowie i ich sekretarze podlegać będą władzy departamentu handlu i rękodzieł; mianować ma zarządzający Bankiem.

— Towarzystwo politechniczne we Lwowie liczy 623 członków. Majątek jego wynosi 15,940 złr., dochód w ubiegłym roku 9,026 złr. *Czasopismo techniczne* ma 800 prenumeratorów.

Szkoły. Komisya statystyczna przy Towarzystwie wolno-ekonomicznem w Petersburgu, postanowiła zebrać dokładne dane o stanie oświaty ludowej w całem [illegible].

— *Kuryer warsz.* dowiaduje się z pewnego źródła, że szkoła techniczna kolei Terespolskiej (Praga, ul. Brzeska) d. 13 lipca r. b. będzie przeniesiona do Sewastopola i jednocześnie przekształcona na specyalną budowniczą.

— Z polecenia kuratora okręgu naukowego warszawskiego, we wszystkich średnich zakładach naukowych lekcye skończą się w bieżącym roku szkolnym w dniu 8 maja. Następnie rozpoczną się egzaminy na patent dojrzałości, względnie na świadectwa z ukończenia całkowitego kursu nauk w danym zakładzie naukowym. Egzaminy te muszą być ukończone do 6 czerwca. We wszystkich innych natomiast klasach, w myśl rozporządzenia ministra oświaty, przejściowych nie będzie; uczniowie przejdą do wyższych klas na zasadzie całorocznych postępów a dla słabszych urządzone będą egzaminy dodatkowe, które zaczną się w dniu 13 września. We wstępnych dla nowych kandydatów nie zajdą żadne zmiany. (*Warsz. Dn.*)

Wystawy i zjazdy. We Lwowie odbył się zjazd galicyjskich lekarzy powiatowych, w którym wzięło udział 40 członków. Żądają oni, ażeby ich uwolniono od obowiązku zastępowania weterynarzy. Zaproponowano zmniejszenie liczby lat służby na stanowiskach powiatowych z 40 na 30.

— Węgierskie ministeryum rolnictwa zwołuje w d. 5 września r. b. międzynarodowy zjazd rolniczy.

— W lipcu postanowiono zwołać zjazd pszczelarzy podczas wystawy w Niższym Nowogrodzie. Między innemi poruszone tam będą kwestye: o najdogodniejszych sposobach i środkach rozpowszechniania śród ludności wiejskiej wiadomości z zakresu pszczelarstwa (szkoły, kursy, muzea, wystawy itd.); o ustanowieniu w drodze prawodawczej przepisów i obowiązków, dotyczących tego działu gospodarki i jej pracowników.

— Na czas wystawy w Peszcie wydawane będą bilety I i II kl. z Petersburga, Moskwy, Warszawy, Kijowa, Odesy itd., ważne w ciągu jednego miesiąca i o 50% tańsze od zwykłych.

— Towarzystwo ogrodnicze w Warszawie po raz pierwszy urządza wiosenną wystawę nowalij i roślin (17, 18 i 19 kwietnia).

— XII ty międzynarodowy zjazd lekarzy odbędzie się w Moskwie w sierpniu 1897 r. i obejmie 12 sekcyj: 1) anatomia, 2) fizyologia, 3) patologia ogólna i anatomia patologiczna, 4) terapia ogólna, 5) choroby wewnętrzne, 6) choroby dzieci, 7) choroby nerwowe i psychiczne, 8) skórne, 9) chirurgia i okulistyka, 10) akuszerya i choroby kobiece, 11) hygiena i 12) medycyna sądowa. Referaty mogą być składane w językach: francuskim, niemieckim i rosyjskim. Komunikaty przyjmowane będą i w innych. Organizacyą kongresu zajmuje się komitet, złożony z profesorów uniwersytetu oraz lekarzy pod prezydencyą kuratora okręgu naukowego moskiewskiego. Składka członków wynosi 10 rubli.

Sądy. Senat uchylił wyrok warszawskiej Izby sądowej w sprawie byłego naczelnika powiatu Pułtuskiego, Mussa Bułguczewa, i jednocześnie postanowił wyjednać u Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana zamianę kary zesłania na tymczasowe zamknięcie w fortecy bez pozbawienia praw. Obronę wnosił adw. przys. Jan Maurycy Kamiński.

Koleje i komunikacye. Wkrótce Warszawa będzie miała skróconą drogę do Rygi. Obecnie trzeba jechać do tego miasta koleją Petersburską przez Wilno do Dźwińska. Na rok bieżący zatwierdzono projekt budowy nowej linii z Grodna do Kowna, a w roku przyszłym pójdzie ona z Kowna przez Poniewież lub Szawle i Mitawę do Rygi. Linia Grodzieńsko-Kowieńska prowadzona będzie w granicach gubernii Suwalskiej. Od Petersburskiej zboczy po lewej stronie Niemna pod Grodnem wraz z budowaną linią Grodzieńsko-Augustowską i skieruje się na północ przez Sopoćkinie, Sereje, Olitę, gdzie skrzyżuje się z Olicko-Suwalską (przedłużenie kolei Orany-Potarańce). Z Olity zaś dojdzie pod Kowno przez Balwierzyszki i złączy się z odnogą Wierzbołowską pomiędzy stacyami Kowno i Mawrucie.

— Kolej Nadwiślańska postanowiła urządzić latem pociągi spacerowe przez Mławę do Gdańska i Sobot, dwa razy na miesiąc. Podobno koleje pruskie zgodziły się już na ten projekt.

Poczta. Na zasadzie przepisów pocztowych, wszystkie listy i przesyłki wyprawiane za granicę, winny być zaopatrzone w adresy dwujęzyczne: rosyjski i francuski, przyczem adres francuski na listach i przesyłkach do Niemiec i Austryi może być zastąpiony niemieckim. Tymczasem zarząd w Austryi zawiadamia, że często z Rosyi przychodzą listy, oraz przesyłki adresowane tylko po rosyjsku, wskutek czego dostarczanie korespondencyi natrafia przeszkody, a nawet staje się w pewnych razach zupełnie niemożliwem. Z tego powodu, również dla uniknięcia niewłaściwej ekspedycyi, główny zarząd poczt i telegrafów wzywa publiczność, aby przy adresowaniu wszelkiego rodzaju korespondencyi za granicę zachowywała przepisy po- [illegible].

Konkurs. Z powodu, iż jeden wcale się nie udał, petersburskie Towarzystwo muzyki kameralnej ogłosiło drugi konkurs, w którym udział mogą wziąć wszyscy poddani rosyjscy. Kwartet ma być napisany na dwoje skrzypiec, altówkę i wiolonczelę, a składać się powinien najmniej z czterech części. Wstęp mają wyłącznie kompozycye nigdzie dotąd nie wydane i nie wykonywane. Powinny być nadesłane w partyturze, w partyach napisanych wyraźnie i transponowanych na fortepian, na cztery ręce. Ostateczny termin upływa 27 stycznia r. 1897. Rezultat ogłoszony będzie 27 marca tegoż roku. Nagroda 500 rs.

Zmarli. Adam Mieleszko-Maliszkiewicz w Kijowie; poeta, tłómacz pieśni Heinego, miłośnik i badacz zabytków historycznych.

Odpowiedzi Redakcyi

Wdzięcznemu. Podobno w roku bieżącym; ściśle nie wiemy.

P. X. W literaturze naszej posiadamy mnóstwo rozpraw, broszur, monografij, mów itp., ale bądź dotyczą one masonów polskich, bądź też są pracami tendencyjnemi. Historyi wyczerpującej i bezstronnej nie mamy. W piśmiennictwach obcych: *Allg. Geschichte der Freimaurerei* (Giessen 1860, 2 t.) Kellera; *Allg. Handb. der Freim.* (Lipsk 1863—79, 4 t.) Lemminga; *Katechism d. Freim.* (Lipsk 1891) Szmitta i in. Co do drugiego pytania: Stefczyka „Upadek Bolesława Śm.,“ Smoleńskiego „Św. Stanisław wobec najnowsz. krytyki hist.“ (*Nowiny* 1878, nr. 128), Pichlera „Bolesl. II v. Polen“ (Budapeszt 1892). Komarnickiego „Św. Stanisław i Bolesław Śm.“ (Drezno 1870). Nadto rozprawy E. Świeżawskiego i in., a także w II t. Lelewela *Polska wiek. średn.*

Panu T. D w Kl. Istnieje praca niemiecka S. Hüppego: *Die Verfassung der. Rep. P.* (Berlin 1867), a wkrótce ma wyjść w formie słownikowo-encyklopedycznej—polska.

K ski w Kijowie. Nie w Krakowie, ale we Lwowie. Atestat iaki wystarcza.

Panu Dominikowi Kowalskiemu w Cumaniu. Książki takiej w handlu księgarskim niema. Ogłaszano tylko sprawozdania z działalności obu ekspedycyi gen. Żylińskiego. Najlepiej wprost do niego się zwrócić za pośrednictwem ministeryum komunikacyi.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 23 Февраля 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.